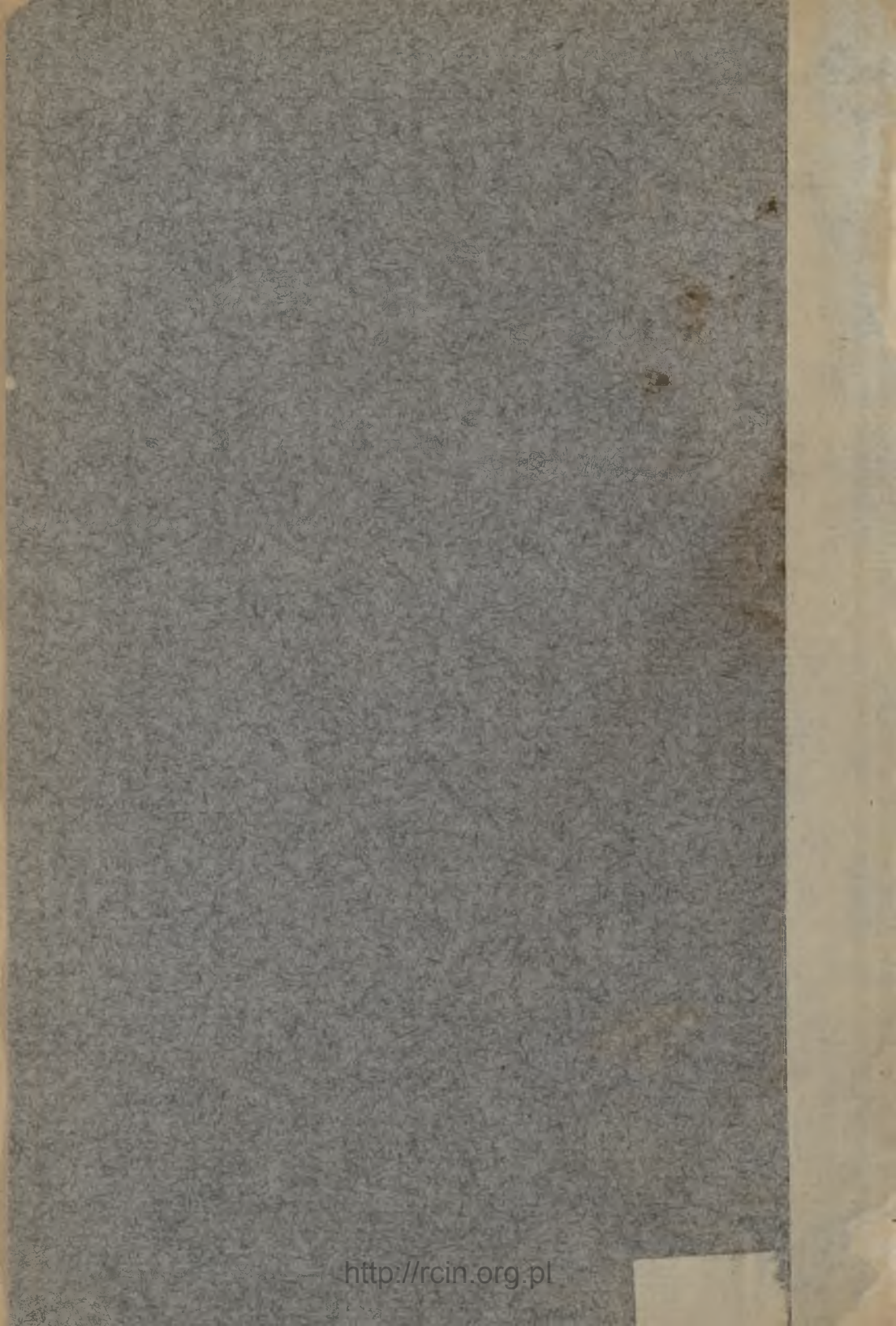




„ŻYWY DZIENNIK”

1916





„Żywy Dziennik“

1916

(Na Bezdomych)



ŁADEM TOWARZYSTWA DZIENNIKARZY I LITERATÓW POLSKICH W POZNANIU
ONKAMI DRUKARNI NAKŁADOWEJ BRACI WINIEWICZÓW (właśc. Józef Winiewicz)
W POZNANIU, ULICA BERLIŃSKA 5. 000 TELEFON 2232.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

350 Warszawa, ul. Nowy Świat 77

Tel. 26-68-69

<http://rcin.org.pl>



24.290

<http://rcin.org.pl>

Dnia 30 marca br. urządziliśmy na rzecz Bezdomnych „ŻYWY DZIENNIK“. Z wielu stron wyrażono przy tej sposobności życzenie, ażeby wypowiedziany ten „Dziennik“ ogłosić drukiem w osobnej odbitce. Zachęci tem, wydajemy go w szacie — jak na dzisiejsze czasy — możliwie estetycznej i ozdobionej rysunkami, których dostarczył nam bezinteresownie pan architekt MARJAN ANDRZEJEWSKI. Cały dochód z rozsprzedaży niniejszego wydawnictwa przeznaczamy na fundusz Bezdomnych ku uczczeniu Henryka Sienkiewicza w 70 rocznicę Jego urodzin.

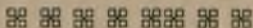
KOMITET REDAKCYJNY

(Tow. Dziennikarzy i Literatów polskich w Poznaniu).





FAGAJENIE



„Lepszy jest zawsze żywy głos, niż zdechła skóra, którą na pergamin wyprawują“ — takie zdanie wygłosił już w XVI wieku Mikołaj Rej z Nagłowic, ojciec piśmiennictwa polskiego. Jeżeli zaś p. Mikołaj obniżył tak bardzo — w stosunku do żywego głosu — wartość perga-

minu — to cóż dopiero powiedzieć o dzisiejszym papierze dziennikarskim, który doprawdy z pargaminem w zawady iść nie może.

Zamiast tedy z wielkim szmatem bibuły zadrukowanej, czy zamazanej nieraz nie osobliwą dzisiaj farbą drukarską, a przeświecającej dla odmiany czystemi, białemi kolumnami, przychodzimy do przezacnej publiczności z żywym słowem. Dzisiejszy nasz „żywy dziennik“ nie będzie miał czytelników, lecz słuchaczy, a jak tuszimy, słuchaczy chętnych, cierpliwych i życzliwych.

Pobudkę do wystąpienia z „żywym dziennikiem“ dała nam myśl o ofiarach toczącej się wojny. Już pogańscy

Rzymianie wyznawali szlachetną zasadę: *res sacra miser* — czyli innemi słowy: dla biedy współczucie mieć należy, — my chrześciance zaś pomnieć powinniśmy na słowa Zbawiciela: „*blagosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.*“

Patrząc codziennie na ofiary wojny, na te tysiące rannych, na te rzesze bezdomne, bez dachu nad głową, pozabawione całego mienia, obdarte i głodne a utrzymywane przy życiu jedynie nadzieją i wiarą w lepszą, jaśniejszą przyszłość, odczuwając sercem okropność szerzącej się wszędzie biedy i nędzy, zapragnęło także Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów okazać czynem współczucie dla tych ofiar. Ale kasa Towarzystwa niezasobna. Wiadomo, że do pojęcia literata przyplątał się przymiotnik „chudy“, a dziennikarze, chociaż nie wszyscy są chudzi, nie należą również, mianowicie u nas, do krezusów. Postanowiliśmy przeto za pomocą „żywego dziennika“ zapukać do litościwych serc ogółu.

Szanowni słuchacze zapłacili już wprawdzie prenumeratę na żywy dziennik we formie biletów wstępu, ale zwracamy się do nich z prośbą, aby każdy — czyja dobra wola i kogo stać na to — złożył jeszcze później dodatkową „prenumeratę“ — jako ofiarę na bezdomnych pod firmą i w myśl intencji „żywego dziennika“.

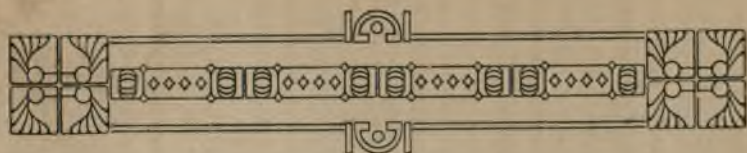
Kończąc niniejsze zagajenie, poczytuję sobie za obowiązek przedstawić szanownemu zgromadzeniu grono nasze redakcyjne. Jest niem właściwie całe Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów. Ta redakcja różni się od innych redakcyi tem, że nie przedstawia grona ludzi związanych pewnym programem politycznym. Siedzi tam obok konserwatysty liberał, obok ludowca narodowy demokrata, obok antysemity postępowiec lub kosmopolita itp. A mimo tego, że literaci i dziennikarze należą w znacznej mierze do *irritabile hominum genus*, tj. do ludzi drażliwych a nieraz czupurnych, to jednakże wszyscy pracują zgodnie,

bo mają w sercu wspólną sprawę, bo ich łączy wszystkich dążenie do jednego celu. Tak i ściślejszy Komitet redakcyjny „Żywego Dziennika“, obecna tu drużyna literacka, zebrana z różnych obozów, ma wspólne hasło i cel wspólny: miłość sprawy i miłosierdzie dla biednych.

Oby ten przykład dany przez Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów, jako też przez zebraną tu drużynę literacką zapanował w całym naszym narodzie — pod hasłem zgody i pracy w zwartym szeregu — ku ulżeniu nędzy, wywołanej przez toczącą się wojnę, ku odbudowaniu zniszczonego przez wojnę kraju i przebudowaniu całego ustroju narodowego.

Zygmunt Celichowski.





PRASA A WOJNA



Właściwie muszę zacząć od tego, że nie rozumiem nazwy „Żywy Dziennik”. Żywy Dziennik, to prawdę powiedziawszy, nonsens, absurd, contradictio in adjecto. Rozumiem, że mogą istnieć „żywe obrazy”, żywe posągi”, — Tołstoj napisał nawet „Żywego trupa”. Ale „Żywy

Dziennik“?! To zaprawdę zbyt śmiała hyperbola. Cóż to, że grono pań i panów uroczyście ubranych, wygłasza swoje cenne lub mniej cenne utwory przed cierpliwą publicznością, ma z dziennikiem wspólnego? Tylko pomysły, strzelisty dowcip francuski mógł zrobić taki karkołomny skok, aby wieczór, wypełniony różnego gatunku wykładami, rozprawkami, monologami i humoreskami — jednym słowem pewnego rodzaju ragout fin literackie — nazwać „Journal parlé”, dziennikiem mówionym. Cała istota tego codziennego, a jednak tak ciekawego fenomenu naszej cywilizacji, który nazywamy dziennikiem czyli gazetą, polega właśnie na tem, że znajdujemy w niej słowo *drukowane*, że ją *czytamy*, nie *słuchamy*, że jest

ona swoistym zupełnie instrumentem wymiany myśli i wiadomości za pomocą mechanicznie reprodukowanych i odbitych arkuszy papieru. To nie jest rzeczą uboczną i obojętną. Całe pojęcie prasy i dziennika, właściwa dusza tego organu opinii zbiorowej jest tak nieodłączną od techniki drukarskiej, maszyn, czcionków, papieru i farby, że wszelkie przenośnie wydają się nie dozwolone.

Dziennik, ten dziennik wielki nowoczesny, stanowiący jedną z najcharakterystyczniejszych cech naszych czasów, musi przekrzywić zgiełk otaczający nas brutalnym kontrastem swych łśniących czarnych głosek z białym tłem wilgotnego jeszcze z pod prasy papieru — dziwny korowód małych i dużych, w tysiącznych kształtach stylizowanych liter tańczy sarabandę szaloną przed oczyma czytelnika — najświętszą nowością, sensacją, bluffem dyszą gorączkowo szeregi olbrzymich nagłówków — wszystko tchnie aktualnością, momentalnym napięciem, chwilą, którą wkrótce pochłania wir nowych wrażeń i wypadków. Dziennik z dnia wczorajszego to rzecz martwa, bezduszna.

Oślepiąco szybki, nerwowy prąd życia nowoczesnego nigdzie nie znalazł dobitniejszego wyrazu jak w dzienniku. Telegraf i telefon podają wiadomość z błyskawicznym pospiechem z jednego końca świata na drugi, przy biurku redakcyjnym wprawny redaktor chwytą w mig doniesienia o historycznej nieraz doniosłości, mózg z napięciem pracuje przez chwilę, w jakiej formie i z jakim komentarzem wiadomość podać masie czytelników, i już kartka za kartką biegnie do drukarni, gdzie zecer na cudownie skonstruowanym „linotypie“ lub „monolinie“ niby na maszynie do pisania składa z przedziwną szybkością manuskrypt, a w pół godziny później już warczą olbrzymie maszyny rotacyjne wyrzucając ze siebie tysiące gotowych złożonych z tyłu a tyłu arkuszy egzemplarzy gazet.

Ta gazeta ma być codziennym pokarmem umysłowym czytelnika, ma zaspokoić jego ciekawość, jego głód wrażeń, jego aspiracje polityczne i literackie, jego praktyczne wymogi życiowe. Pretensje urosły z biegiem czasu i dla tego też dzienniki musiały dawać treść coraz bogatszą, różnorodniejszą i wielostronniejszą. Wielki dziennik nowoczesny to mikrokosmos prawdziwy: artykuł polityczny, przegląd gospodarczy, kwestje prawa, etyki, higieny, pedagogiki, feljeton literacki, krytyka teatralna, czy muzyczna, nowelka, powieść, rozprawka filozoficzna, sensacje kryminalne, doniesienia brukowe, rady praktyczne, giełda, ruch kolejowy i żegluga — wszystko to składa się na stubarwny obraz życia, uchwycony w migawkowym przelocie.

Oczywiście ten doskonały, przebogaty typ wielkich dzienników wszechświatowych nie wyparł jeszcze zupełnie poczciwej gazetki prowincjonalnej, wegetującej po kątach zapadłych, gdzie za ledwie dobroczynna instytucja telefonu jest znana, gdzie nożyce głównym są instrumentem pracy, gdzie tak zwane „telegramy ze świata“ ukazują się z tygodniowym opóźnieniem. Między wielkim dziennikiem stołecznym, rozporządzającym całym sztabem redaktorów, współpracowników fachowych, literackich, korespondentów i szefów inseratowych, a organem Psiej Wólki i okolicy istnieje oczywiście cały szereg typów pośrednich, przejściowych. Ale walka konkurencyjna utrudnia coraz bardziej byt małym gazetom i zmusza je do ciągłego wysiłku w kierunku jeżeli nie sprostania, to w każdym razie zbliżenia się do owej doskonałości technicznej i wielostronności, obsługi czytelników, jaką odznaczają się organy europejskie.

W każdym razie *szybkość informacji* stała się z biegiem czasu główną cechą i celem dziennikarstwa i zabiła dużo dawniejszych zalet, jak ścisłość, dobór materiału,

treść wyrozumowaną itd. Gazeta, którą bodaj o kwadrans wcześniej kameloci wywołują na ulicach z najświeższą wiadomością, pobiła swe konkurentki. Czyż potrzeba dodawać, że cały *styl dziennikarski* zrodził się z tej pogoni za najświeższą sensacją, z migawkowego ujęcia ostatniej wiadomości! Styl artykułów dziennikarskich nosi na sobie wszystkie piętna nerwowego pospiechu. Piszącemu nie inny przyświeca cel, jak aby w możliwie krótki, dobitny, suggestywny sposób wyrazić czytelnikowi swoją opinię. Stąd zwięzłość nadmierna, nieraz z uszczerbkiem dla logicznego rozwoju treści, stąd skróty i skoki myślowe, stąd operowanie frazesem efektywnym, łatwo wpadającym w ucho, a nadewszystko szafowanie hasłami, ujętymi w krótką dobitną formułę, tem co niemiec nazywa „Schlagwort”. Zręcznie ujęte i rzucone hasło takie posiada wpływ czarowny, nieodgadniony, podbija tłumy, łamie opozycję wszelką, przenosi się z ust do ust, rośnie w siłę jak lawina i staje się nieraz potęgą polityczną.

Roła prasy wzmaga się i rośnie w czasach niezwykłych, brzemiennej w wypadki i katastrofy dziejowe. Kiedy paroksyzmy przewrotów głębokich wstrząsają ludzkością, kiedy stare formy się zapadają w gruzy a nowe się rodzą, kiedy objawiają się najbardziej wewnętrzne związki i zależności losów ludzkich, wtedy rośnie głód wiadomości nowych, wtedy prasa staje się cennym organem komunikacyjnym, ważniejszym z punktu widzenia wewnętrznego niż poczta i koleje.

Możemy to zaobserwować podczas wojny obecnej. My wszyscy jesteśmy zanadto ściśle związani z tym strasznym dramatem orężnym, jaki się rozgrywa na polach bojowych, abyśmy nie chwyтали z chciwością za dziennik najświeższy z wiadomościami z pola walki. Wojna zajęła w łamach dzienników miejsce pierwszorzędne i zepchnęła na drugi plan feljton, sprawy społeczne, zagadnie-

nia kulturalne. Prasa jest istotnie wiernem odbiciem współczesnego życia publicznego, zatem i to, co najsilniej porusza ludzkością najsilniejszy musi w niej znaleźć wyraz. Są ludzie niezadowoleni, z tej jednostronności prasy, są tacy, którzy przysięgają sobie stokrotnie że już nie będą czytali wiadomości wojennych, ponieważ z nich i tak się niczego nowego nie dowiedzą, a jednak nazajutrz znowu zdybiają się na tem, jak błędzą wzrokiem po rubryce „Wiadomości wojennych“. Jest jakby jakaś siła wewnętrzna, która ich pcha do tego, że prawie nieświadomie, wbrew własnej woli uwaga ich więźnie i tonie w telegramach z wojny. Nierzadko obserwować można na ulicy ludzi, którzy po kilka razy z największą uwagą odczytują depesze wojenne w oknach z przed kilku dni.

W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości, a mianowicie, że dzięki prasie ludzkość dziś wiele intensywniej przeżywa wojnę niż dawniej.

Wojna dawniejsza nie wiele dalej sięgała skutkami swemi niż poza faktyczny plac boju. W odległości mil kilkunastu już ciszę sielanki wiejskiej nie zakłócił żaden odgłos burzy wojennej. Raz poraz chyba tylko głuche wieści dochodziły, a wrażliwe dusze prostaczków z czerwono migocących się gwiazd lub złowrogiej komety odczytywały tragiczne brzemie wypadków. Dziś świat cywilizowany stał się organem tak czułym, że odgłos armat pod Erzerum udziela się publiczności w Nowym Yorku i San Francisko, a piekielny ogień masowy w obliczu Verdunu bije w uszy ludom Azyi Mniejszej i Mezopotanji. I pochodzi to nietylko ztąd, że liczba narodów wojujących jest tak wielka, że prawie świat stary zamieniony został w teatr wojny. Gdyby wojna toczyła się tylko między Niemcami i Anglią lub Rosją i wówczas ziemia cała, choć może nie w tak intensywnym stopniu żyłaby atmosferą wojennych perypetji.

Rozwój cywilizacji nowoczesnej zbyt skomplikował i zacieśnił węzły między poszczególnymi narodami, zbyt gęstą stworzył sieć wzajemnych interesów i stosunków, aby inny stan był możliwy. Udoskonalone w najwyższym stopniu środki komunikacyjne, rozrost handlu wszechświatowego, wielkie wspólne dzieła cywilizacji, międzynarodowe instytucje kulturalne, traktaty prawne i w nieostatnim rzędzie prasa stały się ogniwami spajającymi narody w jedną rodzinę ludów cywilizowanych. Na tem właściwie opierały się nadzieje ideologów pacyfistycznych, że wojny są wogóle niemożliwe. Tymczasem rzeczywistość w inny sposób dała wyraz tej faktycznej wspólności cywilizacyjnej narodów, przenicowała ją na wywrót i dała wojnę najpotworniejszą, wojnę koalicyjną.

Wprawdzie mieliśmy wojny koalicyjne już za Napoleona, ale tam trzeba było właśnie owego gjenjalnego boga wojny, rozbijającego w gruzy porządek Europy, aby w obronie skupić państwa zagrożone. Dziś nic podobnego nie ma — charakter koalicyjny wojen wypływa organicznie z ustroju gospodarczo-kulturalnego świata nowoczesnego i śmiało powiedzieć można, że albo wojen nie będzie wcale, albo będą koalicyjne.

Doniosła rola prasy w takich warunkach jest aż nader widoczną. Kwestja szybkiej informacji, przebiegającej wszystkie krańce świata staje się przedmiotem jak największych wysiłków umysłowych i finansowych. Wielkie dzienniki nie szczędzą olbrzymich sum na utrzymanie specjalnych korespondentów wojennych, telefony i telegramy pracują z podwójnem natężeniem a długie kolumny niejednej depeszy zdradzają nieraz koszta, któreby starczyły na utrzymanie rodziny przez miesiąc.

Szczególnie w chwilach krytycznych, gdy na polu walki po długich tygodniach nużącego jednostajnego zma-

gania się w pozycjach okopowych następuje zderzenie mas, gdy huragan armat się rozszaleje i tysięczne zastępy ruszają do wielkiego, decydującego starcia pierś o pierś, wtedy łaknący wiadomości tłum rozchwytuje dzienniki z najświeższymi wiadomościami. Tam na froncie wre bitwa straszliwa, olbrzymia, bitwa nowoczesna, trwająca tygodnie całe, z poranku na poranek grzmi ogień masowy setek dział śmiertcionośnych, bomby, gazy i miny sięją spustoszenie, tysiące giną i krwią swą zraszają ziemię, a oto każdy moment tego dramatu rzesza sprawozdawców prasowych chwyta niby na płycie fotograficznej i świeży opis przesyła dziennikowi w stolicy. W ten sam dzień jeszcze albo nazajutrz już publiczność w kawiarniach na ulicy czyta o przebiegu walk, o stratach i sukcesach, o gruzach wsi i miast zbombardowanych i o tych tysiącach, co wyruszyli w bój krwawy, aby już nie wrócić. Niejeden skończywszy barwny opis bitwy, spokojnie dopije zaczęta filiżankę kawy z uczuciem takim mniejwięcej jakby przeczytał sprawozdanie z sensacyjnego procesu kryminalnego. Serce *wrażliwe* zabije silniej, myśl troską lub ufnością przepełniona biegnie z gwaru wielkomiejskiego ku pobojuwisku, a niejedna matka, niejeden ojciec w obawie o syna łzę uroni ukradkiem gorącą, żalną.

W umyśle zaś, szukającym racjonalnego wyjaśnienia zagadek bytu, powstaje dręczące pytanie, jak to możliwe, i czem usprawiedliwione, że jedni wśród trudów i znojów śmierci codziennie patrzeć muszą w oczy, że, wyrwani żelazną ręką z rodziny, dobrobytu i codziennego zakresu zajęć, nory podziemne obrać musieli za mieszkanie, nie wiedząc zaiste dnia i godziny, w której ten rów grobem się dla nich stanie, podczas gdy tam pozostali w kraju dalej żyją życiem zwykłym, nie wiedzą, co głód i chłód i żadnego nie doznają uszczerbku w swych przyzwyczajeniach i zamiłowaniach. Jest zaiste kontrast potworny

między głuchem pobożowiskiem z dymiącymi zgliszczami, krzyżami na świeżych mogiłach i grozą wiejącą od przemożnej siły niszczycielskiej wojny, a pulsującym jak zwykle gwarem życia, ruchu, interesów, pracy i rozkoszy w środowiskach ludzkich za frontem. Tam okrzyk udręczonej duszy ludzkiej wzbija się wraz z słupami ognia ku niebu jako straszliwy hymn de profundis — tu wrzaskliwy, błyszczący jarmark tłumów toczy się, wzbiera, przewala bujną falą żądź nigdy nie zaspokojonych, — tam tysiące jednostek ludzkich oko w oko z otchłanną wiecznością rachunek robi z życia i śmierci — tu wszystkie myśli i rachuby do doczesnej dostrojone nuty, wszystkie piersi chciwie wdychające rozkosz bytu materialnego, wszystkie usta gotowe do wypicia czary rozkoszy do dna.

Jakżeż — więc gdzie jest ów ścisły związek między nami a wojną, więc gdzie jest most ponad tą przepaścią rozpostarty?

Nie widać go nazewnątrz. Lecz kto się wsłucha pilnie w rytm życia, kto poza jaskrawą zasłoną zewnętrznych wrażeń zmysłowych potrafi się zgłębić w serca bliźnich, ten może odczuje pewne zmiany dokonywujące się w cichych wnętrzach ludzkich. Ból i Żal, ci dwaj gońce wojny przechodzą wśród nas niewidzialni i wyszlachetniają sumienia.

Wartki potok życia cywilizacji naszej nowoczesnej potoczy się i po wojnie w dalszym ciągu i niewiele nawet zmieni swe zewnętrzne oblicze, ale nurt jego stanie się głębszym i nowe wartości etyczne wydobędzie niby złoto szczerze ukryte na dnie rzeki. Prasa jest służebnicą życia. I na niej wojna wyciśnie swój stygmat i ona stać się musi narzędziem odrodzenia wewnętrznego. Wojna przepala i przekuwa dusze ludzkie. Świat szuka wyzwolenia z jednostronnego intelektualizmu mózgów i sceptycyzmu serc

wystygłych. Budzą się nowe tęsknoty i pragnienia, wyciągają się ramiona ku nowym ideałom. A kiedy słońce nowego jutra zabłyśnie i mętny strumień życia skapie w jutrzence różanej, wtedy i w zbrukanem zwierciedle prasy odbijają się złote promienie i siac będą blaski kryształowe.

Bolesław Marchlewski.





GRANICE WOLNEJ MYŚLI



Hasło „wolnej myśli“ należy do najpopularniejszych i, skutkiem tego, do bardzo mglistych. Pod jej znakiem gromadzi się hufiec odważnych entuzjastów i szarlatanów, przeciw niej walczy falanga umysłów trzeźwych i przyjaciół ciemności. Mało kto zdaje sobie dokładnie sprawę z istotnej treści tego hasła — ztąd ciągle nieporozumienia i wieczna wojna między jego wyznawcami i przeciwnikami. Postaram się w kilku słowach uwypuklić zasadnicze rysy zagadnienia i przyczynić się w ten sposób do jego rozjaśnienia.

Bardzo często zapomina się o tem, że myśl krytyczna, walcząca przeciw uznanym przez swój czas powagom, nie jest bynajmniej zjawiskiem nowoczesnem, że tu nie idzie o sprawę natury mniej lub więcej przejściowej, lecz o problem związany z rozwojem myśli jako takim. Wszędzie bowiem, gdzie prawdy tradycyjne tracą grunt pod nogami, dzieje się to dzięki wysiłkom owej „wolnej

myśli“, wolnej od ślepego szacunku dla nagłego, brutalnego faktu. Uwydatnia się w każdym tego rodzaju wypadku antagonizm między instynktem samozachowawczym pojęć i wierzeń a instynktem prawdy. Tak jak widzimy, odwieczny.

Przymiotnik „wolna“ oznacza, że myśl dalej odnosi się nie jest wiernem odbiciem poglądów, ciesząc się uświęconem uznaniem — na tem negatywnem określeniu kończy się właściwe znaczenie naszego hasła. Jeżeli, co niewątpliwe, znajdują się ludzie, którzy nawet wobec tak ogólnej formuły pozostają w opozycji, nie ufając *wogóle* pracy myśli, to większość przeciwników dlatego tylko nie zalicza się do wolnomyślicieli, że pod względem *rzeczowym* nie zgadza się z ich twierdzeniami. W zasadzie, możemy powiedzieć, zdrowy rozsądek wypowiada się za wolną myślą. Że wolność ta nie jest bezgraniczną, rzecz jasna. Idzie tylko o to, jakie to mianowicie są granice.



Nasamprzód należy sobie uświadomić, że rozwój myśli nie może, jako proces umysłowy, napotkać na zapory materialne czyli siłę zewnętrzną. Są to, jak nietrudno stwierdzić, wielkości niewspółmierne. Siła zewnętrzna może jedynie przeciwstawić się *wypowiadaniu* myśli i jej rezultatów, nie pozwolić na jej rozszerzanie. Ściśle biorąc, nie powinno się w tych razach mówić o wolności myśli, lecz o *swobodzie słowa i nauczania*. Jest to jednak raczej różnica logiczna, niż realna, gdyż żywe słowo jest niejako ciałem myśli, przeszkadzając więc jego objawieniu się, ukróca się zarazem wolność myśli. *Sokrates* w czasach starożytnych, *Galileusz* w bliższej nam przeszło-

ści padli ofiarą tego materialnego nacisku na swobodę głosu odkrytej i gorąco umiłowanej prawdy. Napotkali oni na granice zewnętrzne, na opór środowiska społecznego, urzędowych jego przedstawicieli. Oto *pierwszy* rodzaj granic wolnej myśli.

Zbyteczna może dodawać, że siła, jako taka, nie ma najmniejszego prawa rozkazywania rozumowi, że więc granice o których była mowa, nie obowiązują sumienia logicznego. Zachodzą rzadkie wypadki, że wystąpienie przeciw jakimś teoriom leży w interesie i prawdy i dobra publicznego. Lecz gdzie gwarancja, że organizacja, która wydaje wyrok potępiający, broni nie siebie a rzeczywistych wartości umysłowych? Przykłady, które wybrałem na chybił trafił, ostrzegają przed zbyt dużym w tej kwestyi optymizmem.

Groźniejszych zapór, o których zwolennicy wolnej myśli systematycznie prawie zapominają, należy szukać w człowieku samym, w jego ustroju psychologicznym. Gdyby w nas rozum odgrywał rolę przodującą, gdyby działał niezależnie od różnorodnych pobudek i interesów, decydujących w lwiej części o naszych przekonaniach, to zagadnienie, którego tu dotykam, nie istniałoby. Miłość prawdy i szukanie jej za wszelką cenę nie jest, niestety, jedyną cechą rodu ludzkiego — obok niej, a często w sprzeczności z nią, mieszkają w nas chęci niskie i brudne, za których głosem idziemy mimo niezaprzeczone ukochanie prawdy. Nie uwzględniając tego konfliktu, nie podobno zrozumieć chaotycznego charakteru dziejów ludzkości, nie możnaby wytłumaczyć kapryśnej ich linii, tych ucieleśnionych niejako drwin z rozumu i jego rozwoju. Toć tani, salonowy sceptycyzm powołuje się z lubością na historię filozofii n. p., wywodząc, że jest ona tragiczną gmatwaniną przeblysków prawdy i śmiesznych błędów, że jest areną, na której zmagają się bezskutecznie ci sami zawsze

zapaśnicy. Czyż byłby tak częstym zarzut ten, gdyby myśl badawcza musiała pokonywać przeszkody jedynie rzeczowe, leżące w naturze zagadnień filozoficznych? Nie idzie mi tu o to, czy sceptycyzm, biorąc go absolutnie, wytrzymuje krytykę, lecz tylko o argument zaczerpnięty z dziejów myśli filozoficznej i o stwierdzenie, że neutraliści filozoficzni opierają się w swych wywodach na fakcie bezsprzecznym, którego genezę tłumaczy nam w pewnej mierze istnienie granic psychologicznych myślenia.

Należy zważyć, że nie przesądzam przyrodzonych nam zdolności poznawczych, nie zastanawiam się nad granicami, zakreślonymi myśli badawczej przez swoisty charakter jej zagadnień i naturę naszego umysłu, lecz zwracam tylko uwagę na te ruchome, względne granice, które są wyrazem wpływów postronnych i istnieją obok pierwszych, ustanowionych przez wyroki boskie. Rzecz jasna, że przeszkody te, uwłaczające godności człowieka, trzeba wszelkimi siłami usuwać. Wobec tych granic, stanowiących *drugi* rodzaj granic wolnej myśli, obowiązuje tylko walka bezwzględna. Jest to problem dyscypliny moralnej, *wewnętrznej* wolności myśli. Należy stłumić w sobie popędy samolubne, nasuwające nam swe apologie, skrepować chęci postawienia na swoim, utorować sobie nieubłaganym wysiłkiem drogę do myśli, wolnej od wszelkich obcych jej i wrogich pierwiastków. Jest to oczywiście ideał, niedościgniony *wzór wolności intelektualnej*, która znowu jest tylko cząstką wolności moralnej, polegającej na zwyczajnym podporządkowaniu wszelkich odruchów naczelnym postulatom etycznym.

Przesuwając tak stopniowo granice zewnętrzne myśli, uznajemy wszakże zarazem granice innego gatunku. Są nimi prawa logiczne — *trzeci* i ostatni rodzaj granic, o których należy tu wspomnieć.

Możnaby paradoksalnie określić treść naszego hasła jako zaprzędanie się w jasyr zakonu logiki. Prawo logiczne jest jedynym i wszechwładnym panem, któremu myśl ludzka winna korną i wierną służbę.

Mówiąc o logice, nie mam, rozumie się, na myśli jedynie prawideł logiki formalnej, odnoszącej się do harmonii pojęć i sądów między sobą, lecz wszystkie te zasady, które regulują nasze myślenie o sprawach konkretnych, z uwzględnieniem właściwego im charakteru. Granice te, to całość wskazań metodologicznych, która, rzecz smutna ale prawdziwa, nie jest jeszcze poznany wszechstronnie i ostatecznie dobytkiem, lecz zadaniem, czekającym na rozwiązanie. Trudność, którą tu poruszam, polega na tem, że myśl, opierająca się na sobie, stawia sobie sama granice.

Starałem się uwydatnić szkicowo stanowisko, z którego, według mego zdania, winno się rozpatrywać zagalenie wolnej myśli. Zazwyczaj zwraca się uwagę przede wszystkim i wyłącznie prawie na granice zewnętrzne, dotyczące, jak zaznaczyłem, bezpośrednio tylko swobody słowa — o granicach natomiast wewnętrznych, z których pierwsze (psychologiczne) są przeszkodami, drugie zaś (logiczne) jedyną rękojmią prawdziwej wolności w dziedzinie myślenia, słyszymy bardzo rzadko. Jeżeli przysługuje nam prawo oporu i walki przeciw narzucanym przez organizacje społeczne więzom, to zarazem ciąży na nas obowiązek poddania się bezwzględne go prawidłom, wpływającym z istoty myśli i poznawania, a równocześnie wywalczenia sobie swobody intelektualnej. Wolno-myśliciel ma zatem nietylko prawa, lecz, co ważniejsza, obowiązek: borykania się z własną słabością i szacunku dla wymagań myśli, której głosi się wielbicielem i obrońcą.

Nie ulega kwestyi, że, pełniąc ten obowiązek sumiennie i gorliwie, lepiej służymy interesom prawdy, niż walcząc przeciw uzurpacyom władzy i opinii. Niechże to będzie dla przyjaciół światła drogowskazem i pociechą.

Kazimierz Łuczewski.





SKARGA!



*Od powietrza — głodu — ognia
|— wojny*

*zachowaj nas i spokojny
daj nam, Panie, byt!
A ty błyskawicą świecisz
i pożarną luną niecisz
jakiś krwawy świt...*

*Na ruinach chwast porasta,
gleby martwe. W ziemię wrasta*

co sięgało w zwyż.

I w zbutwiałe ojców trumny

świątyń wałą się kolumny.

Gad pelza pod krzyż.

Głód się w kraju zbóż majaczy, —

wiary nie ma, że się znaczy

gniewu Twego kres.

Że syn wdowi poległ w bitwie

usta bluźnią Ci w modlitwie

skargą krwi i łez.

Lękiem oszalałe dziatki

Zbrozonego trupa matki

nadaremno budzą z snu.

A nad niemi strzecha gorze —

i na to ty patrzysz Boże!

Okaż litość tu. —

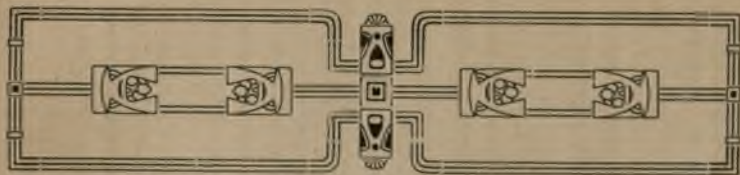
*Bo za ojców naszych winy
Ty nie karzesz bez przyczyny...
Czy więc wina w nas?
Ale jaka? Gdzież proroki
co tłumaczą twe wyroki
w groźny sądu czas.*

*Były niegdyś krwawe dzieje
wielkie duchy — wodzireje
jak nam głosi wieść.
I konano nieraz tłumnie
z wiarą w przyszłość — a więc dumnie
za swych wierzeń cześć!*

*Lecz nam dzisiaj zakazano
nawet wierzyć, że się rano
zbudzim z wiarą... w cud;
Byle starczył nam na oczy
piach tej ziemi, gdy nas stoczy
ogień — mór i głód.*

*Jan Antoniewicz,
(pseud.).*





W SPALONEJ WIOSCE NA NOCLEGU...

*Wicher tumany gna przez pole,
Zawodzi pieśni pogrzebowe,
Wróżby na dołę i niedołę.*

*Marzną na twarzy lzy samotne,
Cisza dokola, mrok pustkowia;
Niesamowite i zawrotne
Tańczą tumany u wezglowia.
Z tamtego świata grają echa,
Wicher drzewiną biedną targa,
Z wichrem upiorów leci skarga,
Kędy rodzinna stała strzecha.*

*W spalonej wiosce na noclegu
Dziwne się z sercem czynią dziwy,
Dziwne tumany wstają z śniegu,
Jakich nie widział człowiek żywy —
W spalonej wiosce na noclegu.*

*W niedopalonej oknie chaty,
Którą przeoczył śmierci włodarz,
Z piersią zakrytą w krwawe szmaty*

*Staje upiorem trup-gospodarz! —
Na oczach nocnej mgły powłoka
I twarz zczerniała od pożogi;
Kiedy wychodzi na rozłogi —
Na wioskę pada noc głęboka...
Między opłotki idzie nocą
I ręką, co się ocknie w żyłach,
Kiedy puszczyki zachichocą,
Zaciera ślady na mogiłach.
Poprzez ciernistej nocy szlaki,
Gdzie cmentarzyska lśnią kamienie,
Z żołnierskich mogił znosi znaki,
Kędy snów ludzkich zapomnienie...
Zahuczą sowy z rumowiska,
Zaśmieje szatan się z ciemności:
Hu ha! Pan dziedzic trupich włości!
Dziedzic z zagonu i nazwiska!*

*Chciało się ludzkiej ot zagrody,
Gdy się rozwarły piekiel wrota;
Łacno święconej zbraknie wody,
Kiedy pioruny człowiek miota!...
Stuzienny żuraw zaskowyta,
Gdy cicho idzie poić konie;
Trzeba, nim słońce znów zaświta
Zaorać groby na zagonie!
By nie zostały żadne ślady
Z tego, co było i co będzie,
By nic nie poznał miesiąc błądy
I ten, co później tu osiedzie!...
Skrzypią żurawie, dzwoni socha,
Parskają konie, konie-duchy,
Czy żoną bydło już pastuchy?...
— Nie! to po zgliszczach wicher szlocha!*

*W spalonej wiosce na noclegu
Dziwne się człeku zdają dziwy:
Z grobów żołnierskich wstają cienie,
Stawają konie do szeregu,
Turkocą wozy, słycać rzenie,
Grają sygnały, dzwonią miecze,
Komendy słycać do podróży;
— Bo noc uciecze, noc uciecze,
I spieszyc trzeba nam do Celu,
Bo noc uciecze i nie zdruży
Na sąd Chrystusa do apelu...!*

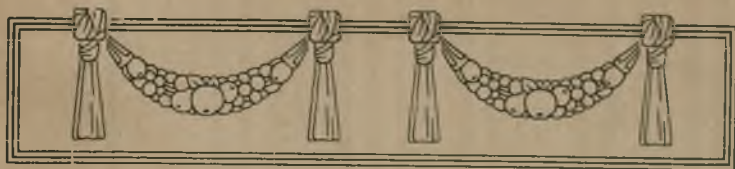
*W spalonej wiosce na noclegu,
Dziwne się człeku zdają rzeczy:
Z gruzów powstaje ród człowieczy —
Kobiety, starce i sieroty, —
Z kościoła słycać już organy,
Mieni się kielich szczerozłoty,
Ołtarz tysiącem świec ubrany,
I dzwony dzwonią zmartwychwstałe...
Potem wychodzi proboszcz siwy...
Idzie procesya poprzez gruzy,
Idzie na pola śnieżno-białe,
Przez bory śpiące, śpiące niwy;
Wiatr śpiewa pieśni pogrzebowe,
Żale serdeczne i tęsknoty.
Echa się niosą przez dąbrowę,
Na gwiazdne szlaki, miesiąc złoty.
Idzie procesya z zawieruchą —
Kobiety, starce i sieroty —
Na zapomnienie, na noc głuchą...*

*W spalonej wiosce na noclegu
Marzną na twarzy łzy samotne,*

*Wicher tumany gna przez pole,
Wróżby na dołę i niedołę.
Z tamtego świata dzwoni socha,
Z tamtego pieśń się niesie brzegu,
Wiatr nieukojny w gruzach szłocha,
W spalonej wiosce na noclegu!...*

Roman Wilkanowicz.





DWÓR STAROPOLSKI

W NASZEJ POEZYZI

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, skroś srebrnej mgły
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe lzy?

M. Konopnicka.



Jeżeli, sięgając myślą w przeszłość, odtwarzamy oczami duszy zarys dawnego domostwa, to widzimy zwykle jasne bielone ściany, „tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni drzew“ lub ciemny, drewniany dworek, wśród szumiących nad nim lip i topoli. Taki dwór był

zwykle w Polsce otaczany czcią i poszanowaniem.

Strzeżony przez lata sercem i duchem, począwszy od ogniska domowego aż do progów, był kolebką, kędy rozwijały się istnienia całych generacji w powolnym życia biegu. Gościnność staropolska stała na czatach u wrót, wypuszczała przy strzemiennem gości pod przyzbą jeszcze z kielichem w rękę i pisała, jako godło nawet przed najuboższą chatą: gość w dom, Bóg w dom.

Dwór — wyobrażeniem będąc niejako niejsca, w którym się kształtowały, wychowywały, owe później rycerskie zastępy naszej historii, będzie wyobrażnię naszą zawsze zajmował, tem więcej, że dawna jego postać zanika.

Najprzód dla tego, że był zwykle drewniany, więc niszczył go czas i pożary. Mało się zachowało owych modrzewiowych dworków o mocnych wiązaniach i o dachu wysokimi gontami pokrytym lub innych, o niskich ścianach, małych oknach i słomianych nieraz strzechach. Takie typowe dworki powtarzały się często w Wielkopolsce. Nie doszuka się jednak ich nikt na rycinach i obrazach. Uroczę ustronia, wśród knieji i zarośli, otoczone łąkami, dzwoniącemi od kos i sierpów żeńców, nęciły raczej poetów, niż malarzy. Kasper Miaskowski, wielkopolski ziemianin XVII wieku, zostawił nam choć w zarysie wspomnienie dawnego dworku we wierszu „Waleta włoszczonowska“. Żegna wówczas „błotny z swemi dworku ściany — snopkiem odziany“. Tęskni za tym domkiem, bo tam błędził w cichej zadumie wśród sadów, zielonych na wiosnę, jesienią owocem rumianych.

Było w Polsce dużo dworów, odznaczających się piękną strukturą drzewną.

Stawał taki dwór zwykle powoli, nie spieszo się z robotą. Robił się, rósł pomału, jak człowiek — miał swą biografię, która się czytała w przybudówkach. Nie prędzej był gotów, zanim się w nim nie zmieściły trzy pokolenia. Miał czasem sto lat wzrostu i dojrzewania*). Dziad go rozpoczął, a wnuk dokończył, jak mówi Wespazjan Kochowski:

Tu ojciec i dziady i krewnych gromady
i mali wnukowie
Dzieciństwa doszli, i w zgodzie rośli
przy swej starszej głowie.

*) W. Łoziński.

Najczęściej powtarzał się w Polsce typ barokowego dworu z łamanymi dachami o dwóch kondygnacjach z narożnikami o stromych wieżyczkowych lub basztowych korpulach. Ziemiańsko-rycerski naród polski, rozmiłowany w życiu sielankowo-wiejskim, miał specjalne upodobanie do dworów, postawionych czołem do południowego słońca, obszernych, by w nim wielu gości pomieścić można. Duża sala służyła zwykle do przyjmowania zastępów:

a z tej sali, coraz dalej
jasne strojne i ukryte
i bielone i obite
zakomórki i kąciaki
i pokoje, pokoiki
i sioneczki, narożniki.
To dla pani, dla jejmości,
To dla panien, to dla gości,
Dla paniczów, pokojowych,
To dla panien respektowych.*)

Na szczycie dachu lub strzechy zagrody szlacheckiej znalazło się zwykle miejsce dla gniazda bocianiego. O Bieleckim Janie mówi z zazdrością jego sąsiad, możny pan Brzeżan:

„a tak szczęśliwy, że nad jego dachem
co wiosnę bocian nowe gniazdo wije“.

choć sam mieszkał jak w królewskim dworze, „bo co ma król polski i szlachcic mieć może“. Możni panowie mieli „złote komnaty“ w zamkach i pałacach, otoczone oficynami, lamusami, kordegardą z wspaniałą bramą wjazdową i mostem na arkadach rzuconym przez rzekę.

Na zamkach, ciągły zgiełk i śmiech i czar czach
I stuk ław i brzęk dzeńk i szabel zgrzyty
I gon psów w lasach i łomot na karczach
Zwierzca — po nocach pełne mar sufity.**)

*) Wincenty Pol.

**) Słowacki: „Król-Duch“.

Może tym miłszym, niż te wspaniałe zamki z blankami i wieżami strzelającymi w górę, podpadające z czasem ruiny, były owe dworki szlacheckie wśród wirydarzy topoli i lip, strzegących od piorunów. Ganek, wsparty na białych kolumnach, otaczały groszki i powoje, szumiały opodal stare drzewa, zegar słoneczny na dziedzińcu tylko jasne i wesole godziny wskazywał. Śpiewa pochwałę cichego dworu Wespazjan Kochowski, pisząc:

Wypróżniają inni trzosa
stawiając pyszne kolosa
hiszpańskie eskuriały
mając w okręg powiat cały.
Ja stawiam dom, nie pergamy
dla wygody tylko samej.

To też choć nie po pańsku urządzony, choć nie ma obrazów Rubensa ani Dolabelli, posiada szlacheć na ścianach szpalery, ma dziane w Carogrodzie dywany.

„zatem na astrych dziana zaraz wełna
padnie farb perskich wzorzysta a pełna“.*)

W okół ściany stoją misy, talerze cynowe i iwickie, szkła różnofarbne i tureckie czasze.

O takim właścicielu mówi Piotr Zbylitowski, ziemianin poeta: „Pan to wielki, kto na stronie, dość ma na swoim zagonie, to moje wszystkie klejnoty, dobra myśl, taniec, zaloty“.

Przytoczone tu przykłady stanowią tylko drobną część poezji na cześć domów i dworów rodzinnych w Polsce, którym wdzięczne wiersze poświęcali poeci wszystkich wieków od Reya i Kochanowskiego aż do Morawskiego, Syrokomli, Pola i najnowszych naszych poetów.

*) K. Miaskowski.

I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

Dom nie wielki — w ten gość wchodzi
Ot i domek się rozszerzył.

W sieniach bielonych, obszernych wisiały strzelby, smy-
cze, rogi, kordy, rzędy, burki drożne; na niedzwiedziej
skórze stał duży stół dębowy z cynowym dzbanem miodu,
po ścianach wisiały portrety antenatów w kontuszach.

Lecz po dworach, aż po morza
Wszędzie jedne obyczaje:
W stajni konik domorosły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły,
A cnota domowa.

Dawną tradycją staropolskich dworów tętniące pieśni
wysnuł nam w szeregach poematów Wincenty Pol, prze-
dewszystkiem w „Pieśni o domu naszym“, w której się
powtarza pełne melancholii pytanie:

Gdzie to synu twoja niwa,
Gdzie to synu dom twój bywa,
Miedze poszły w świat przez pola —
Gdzie twe kopce i twa rola?

Bardziej w głąb przeszłości mrocznej spojrział Słowacki,
odgadując wielkie posłannictwo polskiej chaty.

Właśnie duch pieśni... pod słowiańską chatą
Mieszkał... na wielkich pól — wiejącym runie
Pod jedną lipą starą, rosochatą.

Intuicyą wieszczą, natchnieniem poety zobaczył w róża-
nych jutrzeńkach lub srebrnych blaskach miesiąca za-
grodę Piasta — przy Kruświcy.

Jemu Pan zboże siał ze swej prawicy
Jemu nad chatą święte dwa bociany
Jak archanioły w błyszczących pawężach
Ubrane stały nad chatą na wężach.

Świerszczyki zawodziły cicho po cedrowych ścianach. Wokoło stały ławy z modrzewia, które prosta ręka wyciosała i gliniane dzbany. Na stronie dziad gęślarz lireczki stroił. W sionkach, pachnących sianem i ziołami, stały stągwie kamienne z wodą. Pod szerokim dachem słomianym gnieździły się ciemne jaskółki, a przed drzwiami król węzów lśniący miał swe święte legowisko, niedaleko bogów domowych z drzewa wyciosanych.

Sosnowe ojca domy, jakoś niskie
Dziwnie belki wysokie się wiążą
Sionki wysokie, a glinami śliskie
Wyżej krużganki jakieś złote krążą.
Ubrane w szyby — a szyby w ołowie
Jakby w bladawych szatach aniołowie.

A nad temi szmaragdowymi łąkami, nad białym żwirem nadgoplańskim, nad złotą falą zboża i szafirowej wody unosi się król Duch w wiecznej rozterce i tęskni za utraconym rajem.

Z całego bogactwa dawnych dworów, niegdyś po całej Polsce gęsto rozsianych, została nam ledwie jakaś cząstka drobna. Jeszcze tylko bujna fantazyja poety może wskrzesić w naszej wyobraźni zatarte zarysy na zawsze zatraczonych domostw, czar i urok staropolskich gniazd. Tem więcej żal cennych pamiątek, których już tak mało, że pożoga wojenna niszczy niezliczone szeregi dawnych zabytków i w proch je rozsypuje. Lecz choć szaleją pożary i burze, grożąc zagładą naszym zagrodom, przenigdy nie zatrą w naszej pamięci i sercu świętego wspomnienia „domu polskiego“.

A gdyby topór zimny
Twe ściany burzyć miał,
Nie zginiesz stary domie,
Na sercach będziesz stał,
Aż przyjdzie taka pora,
Dzień jasny gwiezdna noc,
Że znów na dawnym miejscu
Staniesz na wiek, na moc.*)

Maryja Wicherkiewiczowa.

*) Maryjan Zborowski.





Jan N. Szuman.

Sen - życie



*W zadumie,
W głębokiej zadumie
Patrzy mój duch
W otchłanie bytu,
Na życia senny dziw.*

*Patrzy na bujne roty,
Co ongi do jego uczt
Koleją wieków siadały.*

*Jak dumne głowy
Niosły ku słońcu!
Jak pieśń im śpiewały
Szumiące sztandary
Na rozkosz, na życie, na bój! —
Jak gwiazdy ich gasły
W odmetach istnienia,
I w sen się mieniły
Przeszłości.*

*W zadumie,
W głębokiej zadumie
Pyta mój duch,*

*Czy jawą jest życie,
Czy snem?*

*W zadumie się pytam,
Zagadko istnienia,
Odwieczny strumieniu złud,
Co nęcisz rozkoszą,
A rodzisz cierpienia:
A mnie — co przyniesiesz?
Och wiem.*

*Powabisz, ponękasz,
Pochylisz mi głowę,
Jak burza majowa
Kłós gnie.
Zapalisz mi w duszy
Niesyte pragnienia,
Pytania mi rzucisz —
Bez ech.
Pogroźisz mi widmem niemocy —
I przejdiesz...
Potomni powiedzą:
On — żył.*

Król Harald Harfagar

(Henryk Heine).

*Króla Haralda Harfagar
Pod ciemną morską głębiną
Piękną rusalki więzi czar:
A lata płyną i płyną.*

*Opętał mu duszę uroczny wdzięk,
Żyć mu, umierać, gdzie luba:
Dwa wieki minęły, a jeszcze trwa
Jego rozkoszna zguba.*

*W uścisku tuli królewską skroń
Jej tonu miękkie podłoże,
Za jej oczami oczy śle,
Napatrzeć się jej nie może.*

*Złociste włosy pobielił mu czas,
I, jako u widziadła
Wystają kości wychudłych lic,
Pożółkła twarz mu zapadła.*

*Czasem z miłosnych straszą go snów
Nawałnic morskich zawieje,
Gdy burzą wzdęta fala grzmi
I szklany pałac się chwieje.*

*I zdaje mu się, że słyszy krzyk,
Normanów bojowe wołanie:
Podnosi dłonie, i pada znów
Bez sił na miękkie postanie.*

*I czusem wiatr przyniesie śpiew:
Żeglarzów chóralne głosy,
Co sławią króla Harfagar,
I czyny jego i losy.*

*Wtedy mu krwawe płyną łzy,
I łkaniem pierś wzbiera pusta —
Uroczą postać chyli się doń,
Czerwone całują usta.*





ZAMCZYSKO ❀❀❀❀

I.



Wyszędłszy z weroneskiej bazyliki św. Zenona, „comtesse” Dora Łubańska odetchnęła swobodnie niby uczennica po strasznie nudnym i długim wykładzie preceptora.

Wskazywano jej cechy charakterystyczne i piękno architektoniki romańskiej, podkreślając z naciskiem, iż ma przed oczyma jedyny, skończony i klasyczny jej okaz w północnych Włoszech, kazano jej wchodzić na drabinkę i oglądać jakieś zczerniałe płótno, podziwiać zszeregowane kontreforty i fasadę transeptu, nawet zachwycać się jakimiś guzami, czy nabiciami na starożytnych podwojach.

Dość byłoby popatrzeć na popielate mury bazyliki, stwierdzić jej istnienie i dokładność Baedekera, unieść zadowolenie spełnionego obowiązku turystycznego i zwiewne wrażenie sędziwej świątyni, ale żeby wysłuchiwać na pamięć wynizanej, sztucznym entuzjazmem podszytej

gadaniny cicerone'a, przez dobre pół godziny kiwać głową jakiemuś opasłemu Beppo z udawanem uznaniem — to doprawdy zawiele dla nerwowej, ślizgającej się po powierzchni rzeczy i życia córy Albionu.

Więc wyzwolona *comtessa* wskoczyła żywo w oczekujący samojazd, by jak najszybciej uciec z nędznych krańców starego miasta, i skoro wehikuł ruszył, ozwała się do przystojnego, arcyeleganckiego małżonka z uczuciem pewnej ulgi:

— *So we hawe done old Verona!* (Tak tedy skończyliśmy ze starą Weroną).

Otworzyły się wszakże przed nią nękający ją przesyt i otchłań wewnętrznej pustki.

Nie zaszczyciła już w przejeździe ani spojrzeniem dostojnego, patyną wieków omroczonego placu dei Signori, ni koronkowego sarkofagu Scalligierów. Dość miała włoskiego nieba i piękna, nie wzdychała nawet do Florencyi, gdzie państwo Łubańscy spędzali zimę w swej willi.

Na to, aby mieszkać przez zimę w modnym Egipcie lub Anglii, nie byli dość majątni; posiadali bowiem, albo raczej posiadała pani Dora tylko jakieś dwa czy trzy tysiące funtów szterlingów renty. Nie mogła przeto pozwalać sobie na ekstrawagancje, ani obracać się w kołach „wyższych dziesięciu tysięcy“.

Dlatego to ładna i wytworna córka kupca hurtowego z City Londynu, panna Dora Fordham, nie marzyła o poślubieniu angielskiego hrabiego ani baroneta, lecz zadowoliliła się zagranicznym hrabią, znanym w londyńskich sferach sportowych i zajmującym się koźmi z talentem. „Stani“ miał wybitne zalety: wzięcie i maniery prawdziwie arystokratyczne, jeździł konno sławnie, na posadzce salonu przedstawiał się doskonale i imponował powszechnie znajomością koni a zwłaszcza biegunów wyścigowych.

Przystojny kawaler podobał się jej odrazu i, skoro dowiedziała się, że jest hrabią, zakochała się w nim. Zakochała się w nim nawet „na zabój“, w swem przekonaniu, i z prawdziwą radością rzuciła się w jego ramiona, przybrała nazwisko, z którego trudnościami przez dwa lata nie uporała się jeszcze.

Zrazu miała poważne pretensye do języka polskiego za to, że pozwala sobie na dziwolągi, dla angielski niestrawne i chciała poprostu zignorować emigmatyczne kreski w nazwisku sportsmana. Po ślubie jednak zabrała się do tych kreszek na serjo. Pisywała swe nazwisko bez błędu, przestrzegała skrupulatniej od męża, aby na kartkach wizytowych nie zabrakło znaku nad „n“ i kreski przez „L“. Z wymową szło trudniej, jednakowoż niekiedy udawało się jej doskonale. Była z tego lingwistycznego zwycięstwa niezmiernie dumna i w tych momentach rada była nawet, że nosi tak oryginalne nazwisko. Podejrzывała, że kryją się w niej fenomenalne zdolności do języków. Na rozwinięcie ich wszakże nie miała czasu.

Wiosną, w okresie wielkich mityngów na turfie, państwo Łubańscy przebywali w Anglii, pędzili od jednej sezonowej rozrywki do drugiej. Dla hrabiego był to okres pracy: musiał przecież zarobić sobie nieco grosiwa. Zaczem wyjeżdżał z żoną na regaty do Henley i na polowania z ogarami do hrabstwa Norfolk. Następnie, syci sielskich rozkoszy Łubańscy przewozili nieprzeliczone bagaże do Szwajcaryi lub Tyrolu, aby z nadejściem chłódów jesiennych spaść na Włochy i ze względów oszczędnościowych osiąść nad Arnem.

W ojczyźnie swego męża pani Dora nie była nigdy, głównie z tej przyczyny, że Stanisława nic nie ciągnęło do kraju. Wspominał o nim rzadko i przelotnie, a to, co opowiadał o panujących w nim stosunkach, brzmiało wprawdzie oryginalnie, niekiedy śmiesznie, ale nie zachęcająco. Jedynie, mówiąc o swych włościach na Litwie,

„hrabia“ przybierał poważną minę, tem poważniejszą, że „skutkiem opłakanych warunków agrarnych dobra przynosiły bardzo mało i administrator zalegał często z przesyłką pieniędzy“. Z tej przyczyny pan Łubański zżymał się, wypisywał sążniste apostrofy, chociaż żona uspokajała go. Doprawdy nie było powodu do chmurzenia się nad temi sprawami; nie chodziło przecież o sumy, które byłyby robiły różnice w ich budżecie, a Stani był szczególnie ładnym, gdy uśmiech okraszał twarz jego.

Nie chciała więc słyszeć o owych — zdaje się — Trośczykach na Litwie, czy jak się tam nazywały te nieznośne dobra, ani o Polsce wogóle, którą wyobrażała sobie mglisto, jako jakieś bezkresne równiny, głównie obfitujące w pokrzywy i brudnych żydów. W pośrodku tej pustyni leżało miasto: *Warsaw*, gdzieś nad rzeką Wołgą czy inną. Na dalsze studia geograficzne i etnograficzne miła pani Dora nie miała po prostu czasu.

Tego wieczora Łubańscy wyjeżdżali do Wenecyi z państwem Mapleson, którzy, lubo uchodzić mogli za globetrotterów, nie znali dotychczas miasta dożów. Zgorziona tem pani Dora przyrzekła oprowadzać ich po labiryncie uliczek, po oryginalnych osterjach i zakątkach. Jednakże po powrocie z bazyliki przestała uśmiechać się do niej wesoła włóczęga w miłym towarzystwie. Wenecya wydała się jej *overdone* — przerażająco, skandalicznie zbanalizowaną przez rzeszę burżujskich turystów. Projekt postradał cały swój powab.

Upokarzała ją, że nie mogła nic przeciwstawić Maplesonom, opowiadającym cuda o czarach Singapory, o święcie chryzantemów w Japonii, o malowniczości Valparaiso, elegancji Buenos Ayres i przyjęciach na dworze wicekróla Australji w Sydney. A pani Dora nie stąpiła nogą poza obręb mniej lub więcej wydeptanych szlaków podróżniczych w Europie!

Dopiero zaimponowałyby Maplesonom i wszystkim znajomym, gdyby poczęła prawić dziwy o swych dobrach *in Poland* i nieznanym tym, jakby w głuchej bajce zagrożonym kraju!

Istotnie powinna odwiedzić włości mężowskie, pobawić się rolą pani hrabiny w starem zamczysku Łubańskich, o jakim Stani przebąkiwał niekiedy. Nie znała nikogo prócz męża, kto byłby zapuścił się w nieznaną tę puszcę. A nie mogło to nawet być bardzo daleko!

Poczuła nagle potrzebę, niemal fizyczną, spędzenia kilku dni w prymitywnych warunkach bytowania, w otoczeniu dzikiem, stepowem, w krainie, gdzie niema komfortu, niema ulubionej przez panią Dorę marmolady z pomarańcz, gdzie trzeba trząść się jakich dziesięć mil angielskich, nim napotka się dom mieszkalny, gdzie poddani padają panom do nóg a proszek perski jest zgoła niezbędny.

Pyszna myśl! Wprost z Wenecji puszcza się do owych dóbr w Polsce.

Pan Stanisław przyjął projekt żony kwaśno i cierpko. Żeniąc się, przewidywał, iż przyjdzie mu powieść żonę do włości jego -- nieistniejących. Nie gniewał się jednak, gdy Dora nie zdradzała ochoty do poznania jego ziemi ojczystej. Gdy i później myśl taka nie powstała w jej głowie i o majątkach na Litwie mówiło się niby o niedosiężnych płamach na księżycu, miał wrażenie, iż fantazja taka nie nawiedzi jej nigdy i czasem od niechcienia wspominał o starodawnym swem zamczysku omszałem, zgrzybiałem, pogrążonem w zadumie nad sławą rodu Łubańskich.

Aż tu raptem zachciało się tej kobiecie owego zamczyska! Niczem nie dała się odstręczyć od zamiaru. Już przechwalała się przed Maplesonami swą fantazją, obiecując sobie wiele nowych wrażeń.

Pan Stanisław znalazł się w niemałym kłopotcie, bo zkaż u djabła wziąć na poczekaniu zamczysko?!

„Królestwo za zamczysko!“ — wołał w duszy, rozmyślając w głębokim fotelu hotelowej fajczarni nad „idjotyczną zachcianką“ żony.

Jednakże sprytny człowiek, który straciwszy, elegancko mająteczek, musiał sobie radzić w wirach życia, pracą się nie hańbiąc, i w różnych niewyraźnych sytuacjach wynajdował zawsze wybieg, wykręt lub furtkę wyjścia, nie zatrzymywał się zbyt długo przy tem, czar-noksiężnika godnem, zadaniu.

Z piasku i djabeł bicza nie ukręci, więc i on z niczego zamku nie wzniesie. Na Potemkinie zaś wzorować się nie mógł, gdyż Dora — zbliżka obejrzeń pragnęła siedzibę Łubańskich.

Eureka! Już miał pomysł zbawczy!

Stasinek nie w cienię bity!...

II.

W kilka dni potem, gdy Łubańscy wrócili z wycieczki w towarzystwie do Wenecyi, wręczono hrabiemu depeszę, która strapiła go niemało. Sprawą czysto osobistą gentleman nie psuł przy obiedzie miłego nastroju, ale wkrótce opuścił przyjaciół.

— Czy jaka niemila wiadomość? — pyta go żona.

Rzucił jej przed oczy telegram francuski i pogrzyżył się w milczeniu. A pani Dora zawołała:

— Ależ to bardzo przykre!... Spaliło się zamczysko! Jaka szkoda! Właśnie teraz, gdy chcieliśmy je zobaczyć! Ale strata materyalna zapewne niewielka!?

— Znaczna! — zaprzeczył emfaticznie pan Stanisław. — Dobra całe tracą na wartości bez takiej ozdoby.

Zresztą, wisiał tam wcale niezły Rubens, prawdziwy Annibale Caracci, były gobeliny (co prawda zniszczone), było trochę mebli Louis XVI... (Muszę zatelegrafować z zapytaniem, czy nie uratowało się cośkolwiek z tego.) Więc strata ogromna, która jednak wydaje się drobna wobec bolesnego faktu, że sędziwe gniazdo Łubańskich stało się pastwą płomieni, przestało istnieć... Zostały tylko zgliszcza...

Smutek rozlał się na obliczu hrabiego taki, że pani Dora rzuciła się mężowi na szyję.

— *Darling. I am sorry..* Ty byłeś tak do tego przywiązany! Tylko prawdziwy arystokrata miłować tak może gniazdo swych praociców. Jak to pięknie!... Mimo wszystko jednak pojedziemy do twych dóbr! Zobaczymy te zgliszcza! Koniecznie musimy zobaczyć!

W uniesieniu pani Dora nie zatrzymywała uwagi na tem, że Stani po raz pierwszy wspominał o Rubensie, gobelinach i cennych meblach w zamku.

— Niema już po co jeździć. Przygnębiający czekałby nas tam widok... — mruknął Stani, robiąc sobie wyrzuty, że za dobrze gra rolę nieutulonego w żalu.

Przesłana z Warszawy depesza, donosząca o pożarze, usunęła główny cel projektowanej podróży — daremnie. Rozczulona bowiem i utwierdzona przez to w swej fantazyi pani Łubańska, rozgorzała zgola niepohamowanym pragnieniem ujżenia ruin zamczyska. Nie było na to rady.

Jakoż, uzbroiwszy się w paszporty, państwo Łubańscy wyjechali w drugiej połowie października do Warszawy.

Przedstawił się im tam w hotelu czerstwy, dobrze odżywiony i mchem zaściankowym obrosły obywatel ziemski, pan Wojciech Szydłowicz, przez dawnego sąsiada, pana Stanisława, wezwany telegraficznie.

Sama myśl o pani Dorze przejmowała pana Wojciecha respektem. „Eritierka“ krwi angielskiej, osoba „wielkiego“ świata, o którym miał mglisto-złote wyobrażenie na podstawie niegdyś na ławie szkolnej czytanych powieści, wydawała mu się kwiatem, z lepszego pnia wyrosłym, ptakiem rajskim czy drogocennym kolibrem, przypadkiem spadłym w szczęśliwe dłonie pana Stanisława. Cieszył się, że będzie mógł pochłubić się jej znajomością.

Więc stanął przed nią sztywny, służbisty, ze zmieszaniem uczuciem ciekawości i leku, jaki chwycił za łydki starożytnych greków w przeczuwanej obecności bogów.

A pan Stanisław, przedstawivszy go żonie, bąknął po angielsku na stronie:

— To nasz plenipotent.

Pan Wojciech nie rozumiał. Niewiele opowiedzieli sobie z panią Dorą, gdyż po angielsku i po francusku tyle umiał, ile ona po polsku. Próbował tylko wykrztusić kilka francuskich frazesów, brak słów wynagradzał powłóczystemi spojrzeniami i czołobitnymi pokłonami, za co odbierał królewskie, łaskawe uśmiechy, niby giermek.

Po takiej rozmowie pan Wojciech odetchnął, znalazłszy się sam na sam ze Stanisławem, odzyskał zwykłą swobodę i zaczął unosić się nad elegancją i wykwintem pani Łubańskiej, na co małżonek jej odrzekł:

— Wszystko to pięknie, mój drogi, ale do kapitałów jej ojca nie mogłem dotychczas się dostać. Nic — tylko renta....

— Może to i dobrze dla ciebie...

— Dobrze?! — zawołał zgorzony pan Stanisław. — A czy dobrze, że musiałem ci odmówić pożyczki, o jaką mnie prosieś?... Bardzo było mi to przykro.

— Fatalne miałem lata. Na domiar gorzelnię djabli wzięli..

Pan Wojciech zwiesił głowę.

— To doskonale! Pisałeś mi coś o tem. Pamięć mnie nie zawiodła... Gorzelnia twoja stała poza ogrodem, prawda?

— Tak... — odparł p. Wojciech, zdziwiony radosnym tonem przyjaciela.

— Nic nie zostało z jej murów?

— Część ściany, okopcone gruzy, zgliszcza...

— Doskonale!... Słuchaj! Muszę z tobą pomówić, jak przyjaciel z przyjacielem. Musisz oddać mi drobną przysługę... Odwdzięczę ci się za to; postaram się chociażby z piekła i pożyczę ci jaki tysiąc funtów szterlingów, dziesięć tysięcy rubli.

— A co mógłbym zrobić dla ciebie?

— Bagatela... Otóż pojedziesz najbliższym pociągiem do siebie — z koszem szampana, smakołyków i słodyczy. Ugościsz nas u siebie przez dzień lub dwa, prawdziwie po pańsku, przyjmiesz bramą tryumfalną, festonami i rabatami kwiatów, spędzisz kilku grajków...

— Jeśli tylko o to chodzi... Z prawdziwą radością.

— Chciałbym żonie mojej pokazać wieś polską... Może są w naszej okolicy jeszcze piękniejsze od twego majątki, ale twoja Szydłówka jest mi najmiłsza... Taka nawskroś polska, taka charakterystycznie polska ze swymi topolami, lipami..

— Daj się uściskać, Staśku! Kilka lat spędziłeś za granicą, a jednak jesteś nasz... Szlagon, którego ciągnie do ziemi. Jeszcze kupisz sobie majątek w moim sąsiedztwie...

— Może, może... Jeszcze jedna prośba. Nie zapraszaj nikogo, zgoła nikogo z okolicy, chyba, że moja żona pragnęłaby poznać więcej ludzi. Nie chcę cię wystawić na

wydatki, na wielkie biesiady. Zresztą z tobą i przeznaczą twoją panią Wandą (zawsze taka ładna?) będzie nam najlepiej. Jeśli wspomniałem o szampanie, to tylko dlatego, że żona moja przyzwyczajona jest do zbytków, do pewnego luksusu. Chodzi mi o to, aby wieś polska przedstawiła się jej jak najkorzystniej, o ile możliwości trochę romantycznie.

— Rozumiem. Postaramy się o to, aby wywiozła do Anglii jak najlepsze wrażenie.

Istotnie pan Wojciech ze swą połowicą dołożyli wszelkich starań.

Czterokonny pojazd, wiozący państwa Łubańskich, wtoczył się do ogrodu Szydłówki przez barwną, kąpiącą od kwiatów branie tryumfalną z napisem: „Witamy!”, nad której wzniesieniem pracował lud, w mniemaniu, że przybędzie biskup i uszczęśliwi go błogosławieństwem. Przed t. zw. pałacem porządek panował taki, jakiego nie pamiętali najstarsi ludzie. Ogrodowczyk do stołu usługujący, przekształcił się w wyfrakowanego lokaja. Sypialnia gości obwieszona była adamaszkami, przez mole uszkodzonymi, stół ugiął się od sreber pożyczonych, a w czasie obiadu, do którego zasiedli prócz państwa Łubańskich tylko pan Wojciech z ublażowaną na tę okazję żoną i przelęknionymi tem wszystkim dziećmi, przygrywało pod oknem kilku żydków.

Nigdy pan Stanisław nie był więcej olśniewającym. Promieniował radością i humorem. Panią Szydłowiczową obsypywał raz wraz komplementami, aby za chwilę śmiać się przed żoną z niemodnej a pretensjonalnej jej toalety. Bawił panią Dorę ciętymi uwagami o „plenipotencie i jego małżonce“ tak, iż nawet angielfka stawała w ich obronie z całą pobłażliwością i łaskawością pani dla „pocziwych“ oficjalistów, którzy wprawdzie ośmieszali się pod tym i

owym względem, ale bądź co bądź zgotowali dziedzicze serdeczne przyjęcie.

W nagrodę za to olśniewała ich ogniem swych brylantów, połyskiem zbyt dużych zębów i uśmiechem bladoniebieskich oczu, pod wpływem szampana nabierających fosforycznych blasków.

Mrok zapadał, gdy powstano od stołu. Wtedy pan Stanisław zaprojektował przechadzkę po ogrodzie. Na chwilę powstrzymał panią Dorę tłum kobiet wiejskich, wystających przed pałacem, które, napróżno oczekując widoku biskupa, pożerały oczyma brylantową damę. Ujęta tem angielfka zaczęła rozdawać im pieniądze, a pan Stanisław szepnął na ucho przyjacielowi, że możnaby zaimprowizować coś w rodzaju dożynek.

Wreszcie pociągnął żonę na krańce ogrodu, gdzie na tle bezksiężycowej, głębokiej nocy odrzynał się, niby czarna baszta, mur posępnego schroniska nietoperzy.

Tu pan Stanisław stanął jak wryty — w przyzwoitej od zgliszczów odległości, i zapadł się na dno melancholii, w toń zadumy bajronisty. Przemienił się w posąg żaloby i smutku.

Pani Dora zrozumiała go. Wsunawszy rękę pod jego ramię, przytuliła się do mężowskiego boku z szeptem:

— Ach, jak ty odczuwasz to pięknie!...

On przycisnął jej rękę do ust, przysłonił oczy dłonią i trwał w milczeniu przez chwilę, aż, zadając sobie widoczny gwałt, zwrócił się szybko z powrotem do pałacu.

Kochająca żona zrobiła mu miłą niespodziankę.

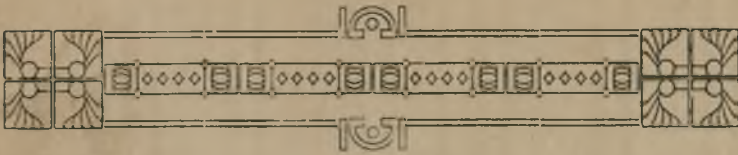
Nazajutrz rano wymknęła się z domu na ruiny mężowskiego gniazda rodzinnego. Nie oglądała go dokładnie, nie wstąpiła na nie, aby nie zawalać bucików na gruzach, wiankiem błota otoczonych, niegościnnych i snadź za przygodny śmietnik służących. Ale sfotografowała je i

Stani zdziwił się niezmiernie, gdy pewnego dnia w ich willi nad Arnem ujrzał nad swem biurkiem powiększoną i ładnie oprawioną fotografię.

- Cóż to jest? — zawołał.
- Nie poznajesz?!
- Ach! Mój Boże... Zamczysko...

Maciej Wierzbński.





CZESŁAW KĘDZIERSKI

TYGRYS I CZŁOWIEK

(BAJKA JAPOŃSKA)



Przed wielu, bardzo wielu laty żył sobie człowiek, z usposobienia rolnik spokojny, marzycielski a dobrouszny. Dzień przy dniu, od świtu poczawszy, obchodził swoje pola ryżowe, a w południe, gdy słońce już bardzo dokuczało, udawał się do pobliskiego lasu, aby spocząć na chwilę w cieniu drzew odwiecznych. Była to jego godzina marzeń najulubiejsza, w której śnił sny piękne o bogactwie swej ziemi, o szczęśliwości i potędze — nie pomny na czyhające dokoła niebezpieczeństwo od węzów jadowitych i zwierząt drapieżnych.

I zdarzyło się raz, że pewnego takiego południa ze świata ułud uroczych wyrwał go nagle poryk dzikiej jakiejś bestyi.

Człowiek zaciekawiony wielce, jako że nadto był dobroduszny, poszedł za głosem ryku. I tak zbliżył się powoli do matni, w której tygrys potężny daremnie się szamotał i wściekle ryczał.

Gdy tygrys spostrzegł naszego człowieka, zawołał zadyszany:

— Czemu się tak gapisz? Pomóż mi raczej uwolnić się z opresyi, a ja w nagrodę obsypię cię bogactwami i zrobię cię wielkim.

— A czy aby tylko naprawdę dotrzymasz obietnicy i nie pożresz mnie? — zapytał człowiek, któremu żal się zrobiło zwierzęcia.

— Serdecznie, daję ci na to moje tygrysie słowo! — zapewnił tygrys, i wyrzucił z siebie tak wiele słów pięknych a słodkich, że człowiek uwierzył. Nic dziwnego, był dobroduszny.

Gdy tygrys ujrzał się wolnym od wszelkich niebezpieczeństw matni, wówczas zadowolony począł się przeciągać i prężyć a ziewać, poczem przyjrzał się człowiekowi przez chwilę i rzekł:

— Doba już minęła, odkąd dostałem się w ten przekłętą samotrzask. Nie zdziwisz się przeto, jeśli ci powiem, że cierpię głód piekielny i że muszę cię pożreć. Na co tobie bogactwa i wielkość? Miałbyś kłopot niepotrzebny. Kiedyś tak czy owak musisz umrzeć, a gdy ja cię połknę, zaoszczędzę ci kosztów pogrzebu.

— Tak to dotrzymujesz swego słowa? Taka twoja wdzięczność? — zawołał człowiek zdziwiony i przerażony zarazem. Wiadomo — był dobroduszny.

— Proszę cię, tylko bez dramatów, alteracji i deklamacji — odparł tygrys. — O wdzięczności trudno myśleć, gdy żołądek pusty. Najpierw trzeba się najeść!

Tak tedy umawiali się czas dłuższy, aż nagle pojawił się na widowni zajęczek wesoły, który słysząc kłótnię, zapytał, dlaczego tygrys pragnie zjeść człowieka.

Tygrys opowiedział więc, że człowiek wyswobodził go wprawdzie z ciężkiego położenia, że jednak uczucie głodu i pragnienie utrzymania się przy życiu jest znacznie silniejsze, niż uczucie wdzięczności.

— Zupełnie słusznie, mości panie tygrysku! — zawyrokował na to zajęcz. — Zjedz go i niech ci wyjdzie na

zdrowie; pocóż był tak głupi i ciebie uwolnił. Niby to człowiek i niby mądry, a nie wie, że u was, wielkich, najpierw żołądek, a potem dopiero wszystko inne... Ale, ale! cóż ja to widzę? Z tego głupstwa acan nie umiał się sam uwolnić, mimo swej siły? — zawołał zając serdecznie zdziwiony, wskazując na matnię. — Doprawdy, trudno mi uwierzyć; acan chyba blagujesz!

— Ja i blagować! — krzyknął tygrys gniewnie i wbiegł z powrotem do matni, aby pokazać zającowi, jak się w nią dostał. — Popatrz! wlałem tak, nie zważając, czem to pachnie!

— Wszystko to bardzo pięknie i ładnie! Ale teraz pragnąłbym też zobaczyć, w jaki to sposób człowiek acana uwolnił! — zaśmiał się zając, skoczył na samołowkę, zluźnił zasuwy, tak, że matnia się znowu zatrzaśła.

— Doskonale! — zwrócił się teraz zając do człowieka, — jeżeli pan-człowiek masz ochotę starego tego grzesznika uwolnić po raz wtóry, proszę, nie przeszkadzam. Niechaj ciebie pożre; będzie miał do tego zupełne prawo. Ja przecież wolę nie patrzeć na to! — Co powiedziawszy, wywinął kozła i zniknął w lesie.

Człowiek uradowany z tak niespodziewanego ocalenia, a skruszony mądrością zajączka, oddalił się do swej zagrody, ścigany wściekłym rykiem okpionego starego zbrodniarza.

Ztąd płynie morał taki, że podstępem snadno zwyciężyć siłę. A morał drugi: Nie ufaj nigdy słowu mocniejszego.





SOLIDARNOŚĆ

W ŚWIECIE ZWIERZĄT

Świadkiem byłem kiedyś dysput w filozofów tęgich gronie, co na temat się sprzeczali: czy zwierzęta mają prawa, znają karność, i to, co u ludzi zwie się solidarność? Czy, gdy gryzą się zwierzęta, gdy się mocno szarpią wzajem, czy to rzecz jest człeka święta wejść tam między nie z nahajem? I czy zwierzę słabsze bite uzna pomoc i wdzięczności uczuć wianek złoży pięknie u kolanek swego zbawcy? — Zdania były podzielone. — Nie! tak! tak! nie! wirowały nad głowami. Więc ja, prostak, choć sam wcale nie filozof, do uczonych się wmięszałem, i taką im bajeczkę — ot, jak niżej — powiedziałem:

*
Raz niedźwiadek
z młodym wilczkiem
i baranem
śliczną zgodę
zawarł milczkiem.

Milczkiem mówię, —
boć wiadomo,
że zwierzęta
słów nie tracą
nawet w święta.

*
Razem wszędzie
się włóczyli:
Czy wieczorem,
w noc nad ranem,
zawsze chyłkiem
się spieszyli,
zawsze razem
niedźwiedź z wilkiem
i baranem.
Trójka dziwna,
ani słowa! —

Niedźwiedź krzepki,
ale za to
kiepska głowa.

Trójka — mówię —
osobliwa!
Bo baranek,
choć ma rogi,
i choć stary —
zawsze „palcem
w bucie kiwa“.

Trójka — wierście —
wyjątkowa!
Bo ów trzeci,
wilczek mały,
choć najmłodszy —
mądra głowa,
a i w pysku
kły ma ostre,
ani słowa!

Wilk więc rządził
dyrygował,
w trójce małej,
lecz dobranej,
pełnej chwały.

Razem wszędzie
się włóczyli:
W wieczór, nocką
czy nad ranem, —
zawsze sprytnie
coś zgrabili,
zawsze razem
niedźwiedź z wilkiem
i baranem.

Kradli wszędzie
co się dało;
wszelkim łupem
się dzielili
w równe działę;
zawsze karnie,
solidarnie, —
niedźwiedź, baran
i wilk mały.

Lecz wiadomo,
że nie lubią
zgody ludzie
zbytńio długiej.
Czy więc dziwne,
że zwierzęta
także czasem
się poczubią?...

Trójka nasza,
choć zgodliwa,
zawsze karna,
solidarna,
też się kiedyś
poczubiała
i na siebie
się rzuciła.
Rozsierzdona,
rozogniona,
kłamami szczerząc,
kłamami grożąc,
tego siebie
tarmosiła,
że aż ziemie
rozjęczały,
że aż kłaki

ponad lasy,
rzeki, góry
się wzbijały...

✦ w tem drogą
na kolację
spieszył chłopiec.
On to widząc,
co się święci —
choć ubogi,
nie znał trwogi —
szybko powziął...
kalkulację.

— Wilk, czy baran,
czy niedźwiadek —
myśli sobie.

— Poczkać, Misiu,
dam ja tobie! —
I nuż machać
pałką chwacko
w lewo, w prawo,
wprzód i zasię —
słowem — Misia
walił gracko.

Lecz w tem nagle
cuda, dziwa!

Rzecz się dzieje
osobliwa!...

Gdy już dosyć
się nabiły
cne zwierzęta, —

baran, niedźwiędź
i wilk młody
w jednej chwili
na chłopinę
się rzucili,
stłukli, zbili,
poranili,
i zabili,
i połknęli,
składnie, karnie
solidarnie.

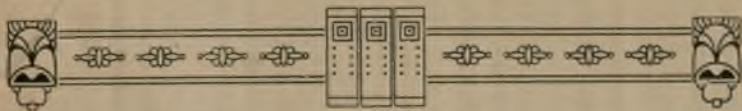
Jaki bajdy
sens moralny? —
Zaraz powiem!

— Z pomocniczą
wszelką „acją“
bądź ostrożny,
nie nahalny,
boć zwierzęta,
jak zwierzęta —
choć się pożra,
wnet pogodzą
i cię połkną
na kolacją!

A też morał
mam tu drugi:
Gdy się dwójka
szarpie, bije,
trzym się zdala,
bo oberwiesz
łacno kije.

Jak widzicie filozofy, są u zwierząt silne prawa przyrodzone: Łączność, karność, solidarność. I kto liczy na zwierzęce na wdzięczności, łatwo stracić może kości i swe miłe, cenne życie.





MOJA WINDA (NA MARGINESIE)



Od czasu, jak dnia 1-go sierpnia 1914 r. ogłosiłem neutralność marginesu, zawiesiłem czynność literacką na kołku i nie ruszyłem piórem, prócz oczywiście, gdy chodziło o recepty lub samobójcze oszacowania podatkowe. Nawet broszury nie napisałem.

Bo i cóż pisać na marginesie, skoro zapanowała u nas rajska zgoda, a dzięki dobrej cenzurze wszyscy się kochamy. Że tam od czasu do czasu ktoś, ot tak, by nie wyjść z wprawy kogoś mleczkiem ugryzie, no, to czuje tylko ugryziony. „Difficile — więc jest — satiram... scribere“! O swoich nie ma powodu, a o innych lepiej nie, bo można się dostać do ciupy.

To też wybieram temat zupełnie neutralny, choć ma angielską nazwę, „*mój lift*“.

O nim to napisać mógłby wieszcz:

„Lificie, udreko moja, ty niszczysz mi zdrowie,
Jak ciebie unikać, ten tylko się dowie,
Kto raz utknął. Ja srogie przeszedłszy katusze
W twem wnętrzu, tylko złorzeczyć ci muszę“.

Otóż ów lift czyli, jakby powinna nazwać komisya językowa taką instytucję: „Czarcia jama“, „Noli me tan-

gere“, był od dawna marzeniem mojem i pacjentów, którzy niemal codziennie, wchodząc zdyszani do poczekalni, nieprzystojnie wyrażali się o stromości mych wschodów.

Ale co było robić, lifty na kamieniach się nie rodzą, a tembardziej w kamienicach Św. Marcina. Gdy mi jednak już nietylko pacjenci, ale i różne zresztą przyjazne dusze, odwiedzające mą strzechę, zanadto dogryźli, poszedłem na zwiady za mieszkaniem „z liftem“, no, i znalazłem. Cóż to było za błogie uczucie, zamiast drapania się jak na Giewont, siedzieć poprostu na ławeczce i płynąć jak Eliasz w górę, by za chwilę wylądować na swoim pięttrze! A co dopiero, gdy się wracało w nocy z poważniejszego posiedzenia w Hungaryi! Pacjenci już nie narzekali na brak tchu i z rozkosznym uśmiechem siadali na krześle męczarni.

Było to po prostu idealnie, a zacny portyer Mazurkiewicz jak niańka karmił windę oliwą, smarą i czego tylko jej dusza zapagnęła, i pieścił ją jak rodzona matka.

Tymczasem wybuchła wojna, Mazurkiewicz poszedł smarować armaty, a osierocona winda została sama.

Zrazu zносиła jakoś swą dolę sierocą mężnie i tylko nerwowymi ruchami, to znów niewytłomaczonym zamysleniem zdradzała się, że cierpi. W miarę jednak, jak Mazurkiewicz zaczął zdobywać jedną fortecę po drugiej, dostała manji wielkości i oświadczyła, że ani myśli fatygować się dalej pod górę na każde zawołanie. — Kto chce jechać, niech skromnie zejdzie na dół i grzecznie poprosi, to może z łaski go weźmie ze sobą na piętro!

Ale czegoż człowiek nie nauczył się znosić podczas wojny! Zacząłem się więc znów po staropolsku wdrapywać po wschodach (że były marmurowe, nie wielka pociecha), tłumiąc w duszy westchnienia.

Niestety jednak pacjenci (a i nadobne przyjaciółki mego domu) nie odznacжали się równym stoicyzmem i nie-

dwuznacznie dawali do zrozumienia, że dość im choroby skóry i bynajmniej nie pragną leczyć się na astmę. Rozpoczęły się więc konsilja nad chorą windą, różni uczeni inżynierowie badali jej wnętrzności, przyprawiali i odepowalali jej różne części ciała, wreszcie stwierdzili, że ma za mało temperamentu, i wsadzili jej nową duszę czyli motor.

Skutek był nadzwyczajny. Jak pełnokrwisty arab nie doczekała nigdy, aż jej ktoś dosiadł, lecz rzuciła się w szalonym pędzie w górę, tak, że zwykle zatrzymywała się dopiero hen gdzieś pod dachem i trzeba było dwa piętra schodzić na dół. Ale zawsze lepiej w dół jak pod górę.

Ale, jak można okiełznać najdzikszego rumaka, tak i na windę znalazł się sposób, po prostu naduszało się guzik do sklepu, to stawała na drugim piętrze i tak się jakoś ustatkowała.

Lecz spokój był pozorny. Zdarzyły się potem wypadki, które wszczepiły we mnie bodaj na zawsze windowstręt .

A było tak: Jak zwykle panie wszędzie mają czas, tylko nie u lekarza. Każda musi być przyjęta natychmiast, każda za kwadrans wyjeżdża (choć nocuje w Bazarze), każda ma cierpienie nie znoszące zwłoki. To też mój poczciwy Walenty codziennie wysiła swój kunszt dyplomatyczny (niczem hr. Bernstorff) i stara się odwlec ultimatum, tj. zerwanie stosunków i opuszczenie lokalu. Pewnego dnia, gdy już po raz siódmy brałem do rąk ten sam instrument, odrywany to telefonem, to pukaniem Walentego, odezwał się nerwowo dzwonek „od pacjentów“ i wkrótce potem ożywiona wymiana zdań między Walentym, a jakimś dzwięcznym, ale energicznym głosem niewieścim .

— Czy jest pan doktor? Proszę mnie zaraz zameldować, muszę być przyjęta natychmiast! — Na roz-

paczliwe pukanie Walentego rzuciłem z pasyą instrument (równocześnie dzwonił telefon zamiejskowy) i wypadłem do przedsiönku (eufemistycznie „hallem” w kontrakcie zwanego), gdzie ujrzałem p. X. zdradzającą gestem zamiar wtargnięcia do mego pokoju ordynacyjnego.

Była co prawda „dzieckiem Maryi”, ale cnót chrześcijańskich jakoś nie posiadała, mianowicie cierpliwości i sprawiedliwości wobec bliźnich, którzy już czekali od dwóch godzin. Natomiast okazała męstwo, bo mimo protestu Walentego wkroczyła od razu do gabinetu, gdzie właśnie w poważniejszym dekolcie — lecz nie będę zdradzał tajemnic lekarskich.

Dość, że na rumor w sieni z trzech poczekalni (męskiej, damskiej i „dyskretnej”) wysunęły się głowy, groźnie spoglądające na niecierpliwą konkurencyę i niedwuznacznie dające do zrozumienia, że na żadne łamanie neutralności i zasad równouprawnienia nie zgodzą się.

Ów pacjent zaś, czy zaskoczony widokiem owej damy, czy też rad, że chwila zetknięcia się z nieprzyjemnym instrumentem odwlokła się po raz ósmy, milczkiem ubrał się i wymknął drugimi drzwiami.

Lecz pani X. mimo dyplomacyi Walentego i mej prośby, by choć chwilkę poczekała, „a jakoś się urządzi”, kategorycznie oświadczyła, „że ani chwili” i z podniesioną głową opuściła mój dom gościnnie. Wnet też zatrzaśnięcie żelaznych wrot liftu (przy którym czatował Mazurkiewicz junior) upewniło mnie, że istotnie nawet nie miała czasu na zejście ze wschodów.

Gdy kilka godzin później, załatwiwszy się z chorymi, zabrałem się, by pospieczyć do szpitala, uderzyło mnie na wschodach jakieś stukanie i wydobywające się gdzieś z otchłani głosy.

Złowrogie przeczucie ścisnęło mi serce. Rzuciłem się do drzwi windy, zacząłem operować kluczem, ani rusz!

— Jest tam kto? — zawołałem przez dziurkę od klucza. Odpowiedział mi słaby jęk:

— Ratuście! Już dwie godziny....

Zaalarmowałem cały dom, wszystkie służebne niewiasty rozmaitych pięt (jak w kintopic) zaczęły szukać pani Mazurkiewiczowej, która macoszyła windzie, lecz napróżno.

Tymczasem głos więźnia cichł coraz bardziej, a nikt nie wiedział, jak ruszyć z miejsca windę.

Wreszcie nawinęła się druga latorośl Mazurkiewicza.

— Gdzie matka? — krzyknąłem.

— Zaro byndzie. Una ino poszła po masło, bedom ze dwie godziny....

— Po masło! — pomyślałem — to niżej dalszych dwóch godzin nie wróci, a tymczasem tajemnicza osoba w windzie udusi się!

Na szczęście jednak — jak daj Boże i w innych sprawach — pesymizm mój okazał się nieuzasadnionym; i po chwili pani portyerowa, nie dostawszy mimo dwugodzinnego czekania przed Miczyńską masła, pojawiła się na wschodach.

Zoryentowawszy się w sytuacji, pobiegła, o ile na to pozwalała tusza, do sklepu i po dłuższem borykaniu się z windą podciągnęła ją tak daleko, że stanęła na wysokości drzwi, przed którymi my, tj. ja i cały niemal personał domowy, czatowaliśmy jak wyżły przed lisią jamą.

Wreszcie drzwi skrzypnęły i wyłonił się mały Mazurkiewicz, a za nim złamana i skruszona jak po rekolekcyach sodalicyi — moja pani X.

Nazajutrz już czekała spokojnie w poczekalni, aż przyszła na nią kolej.

Lecz o ile w tym wypadku windzie mimo jej brzydkiego postępku należało przyznać pewne poczucie sprawiedliwości, o tyle w kilka dni później postąpiła sobie bardzo nielojalnie — ze mną.

Byłem na znakomitej kolacyi męskiej, gdzie zaczęto sobie psuć trawienie i humor rozmową o polityce.

Jeżeli już w czasach normalnych każdy Polak ma swoje zdanie, to podczas wojny posiada już nie jedno, ale conajmniej dwa — zależnie od telegramów. Ja zaś nieszczęśliwym sposobem mam zawsze inne, niż większość i dla tego moja karyera polityczna zakończyła się w dość skromnych zaczątkach.

Jeśli np. jestem w towarzystwie ludzi, wpatrzonych w obłoki i widzących wszędzie an-ielskie hufce, to nie mogę się wstrzymać, by nie nalać im zimnej wody faktów na głowy, by spojrzeli troszkę w koło siebie — no i uważają mnie za zagwożdżonego konserwatystę.

Odwrotnie zaś, gdy znajdę się wśród abstynentów (politycznych) tj. ludzi tak trzeźwych, że nigdy oczu nie zamykają (i może dlatego widzą szczęście tylko w najbliższem otoczeniu), to znów muszę wybuchnąć z czemś takim, że mnie uważają za najczterwieńszego radykała.

Skutek jest w obu wypadkach ujemny, tj. jedni i drudzy gniewają się na mnie. Najlepiej byłoby bodaj czynić jak rozmaici pływacy, którzy zawsze są jednego zdania z danem otoczeniem.

Lecz wracam do windy.

Otóż, gdym w pewnym bardzo gościnnym domu po kolacyi znów coś powiedział i ściągnął na siebie czarno-żółty gniew różnych osób, wracałem podniecony dyskusją (no i znakomitem winem) do domu, ciesząc się po walce z pasztetami i trzeźwością na spoczynek. Zapomniawszy o fantazyach windy, wsiadłem spokojnie do niej i jakoś nie zawiodła zaufania, bo bez certowania zawiozła mnie do drzwi mego piętra, a nawet kilka centymetrów dalej. Ale pedantyczne drzwi (które zasadniczo są zaciętymi antagonistami każdej windy) nie znosiły takiej nieakuratności, no, i powiedziały, że się nie otworzą i basta!

Dreszcz mnie przejął, ale nie traciłem nadziei, znając cały szereg „triców“, któremi można było czasami windę udobruchać i nakłonić jednak choćby do zjechania o jedno piętro niżej. Ale tak się obraziła na nieuczynność drzwi, że zawiesiła swą czynność do rana. Ponieważ na takie wypadki przewidziany był dzwonek alarmowy, przeto według przepisu zacząłem go dusić. Odzywał się też bardzo skrupulatnie, ale, ponieważ dziwną ironją losu umieszczono go na parterze przy drzwiach Św. Marcina, a pani Mazurkiewiczowa śniła o zwycięstwach męża na trzecim piętrze od Piekar, przeto głos jego był wołającym na puszczy i też się wkrótce zniechęcił.

Zacząłem sobie przypominać etnograficzne warunki kamienicy i stwierdziłem z radością, że na I piętrze tuż obok windy śpią niewiasty, zajmujące się kunsztem kucharskim. Zacząłem więc dyskretnie pukać najprzód pięścią, potem parasolem, wreszcie kaloszami, (które dawały donośny rezonans) o ścianę i nasłuchiwałem, ażali nie usłyszę szelestu — ale napróżno.

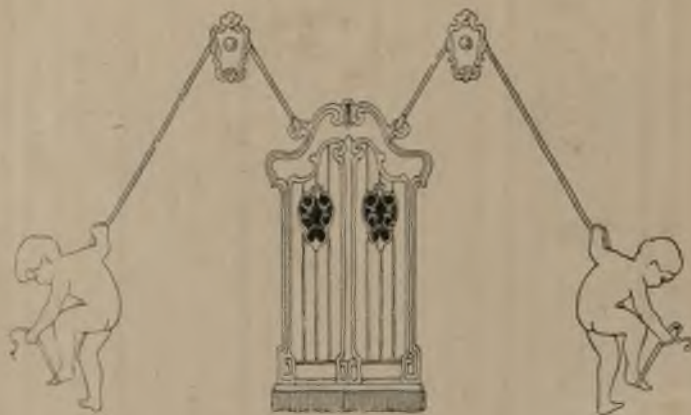
Najsilniejsza kanonada nie była w stanie przełamać linii obronnej ich snu (czy też braku miłości bliźniego). Zrezygnowałem więc z dalszej ofensywy i postanowiłem przejść do defensywy wobec mrozu, który dawał się dość dotkliwie odczuwać. Otuliłem się płaszczem i przygnębiony postanowiłem czekać do rana. Gdy mi jednak członki na dobre kostniały, zdobyłem się jeszcze na rozpaczliwy wysiłek i zacząłem tłuc o podłogę windy nogami ławeczki. Wywołało to co prawda huk ciężkiej artylerii, ale równocześnie unosiły się tumany kurzu i trujące gazy, nagromadzone pod windą, tak, że po chwili zacząłem się nie na żarty krztusić i pot kroplisty — mimo zimna — wystąpił na me skronie.

Opadłem złamany na ową ławeczkę z uczuciem żywcem zasypanego wybuchem miny. Rozmyślałem, za co mnie Pan Bóg karze, i począłem żałować za okazany

brak „trzeźwości“. Śnać skrucha została dobrze przyjęta, bo wreszcie drzwi jakieś skrzypnęły i pojawił się mój wybawiciel w osobie kochanego sąsiada i kolegi (od kobiet). Ponieważ posiadał wielką wprawę w niesieniu pomocy niewiastom, będącym w podobnym położeniu co lift, przeto wnet zręcznymi ruchami ulżył i biednej windzie, która z westchnieniem ulgi wydała mnie na świat o godzinie $\frac{1}{2}6$ z rana. Nie na żarty miałem uczucie nowonarodzonego.

A czego nie dokonały najpiękniejsze c. k. retoryczne zwroty w dyskusyi, to zrobiła winda: wytrzymałem zupełnie. —

Adam Karwowski.





ROMUALD PACZKOWSKI

Jak pory roku mówią?

(Etiuda)



„Wio!... Wio!... Wio!...“
wio-sna woła i pęka z biczyska.

„La... la... la!“

la-to nuci żniwując wesolo.

„Je... je... je...“

je-sień jęczy przez puste ścier-
lniska.

„Zi... zi... zi...“

zi-ma świszczy dmąc śniegiem
[wokolo.

Z teki waryata

(Filozof)

Piekielnych rajów czyścowe katusze
i śniegów czarnych żar polarny zniosłem.
Przy niebne brudy chmur poprułem wiosłem
i gwiazdy trząsłem z niebios niby grusze.

Szczerbate wiedźmy były me kochanki.
Jam nasłuchiwał, co w sercach ich gnije,
śluchał, jak pachną w kałuży lilije
i słoneczniki w księżycowe ranki.

*W trumnach legąłem, aby powstać z żywych...
 Gdym pragnął, lawę z wulkanów wypilem,
 a kiedyś taknął, to na ścierwach chciwych
 orłów i węzów wśród pustyni tyłem.
 Jam prawdy szukał!... Lecz że jej nie znajdě,
 siadlszy przy drodze spisałem tę... bajdę.*

Nasze imiona

*Pochowały się
 dawne Marysie.*

*W prababek grobach już pogrzebane
 Zośki te nasze miłe, kochane.*

Niema już Kachny; dziś nie na czasie

Wandy, Haliny, Jadzie i Basie.

*Dzieciaka imię dzisiaj musi brzęczeć
 lub grzmieć piorunnie albo kłiwo jęczeć.*

*Do igły, nożyc albo do ścierki
 biorą się dzisiaj same... bohaterki!*

*Dziś w buduarach, w kuchni, w salonie
 tylko Piwonie,
 Tunie i Tonie.*

*I co dziewczyna,
 to.... Okaryna.*

I co spódniczka — to Loda, Nora,

a co fartuszek — to Kala, Kora,

a co kokardka — to Ropa, Dola,

Limba, Weranda i Barkarola.

.....

*Pan Ćwik Walenty, kupiec kolonialny,
 co miał bakulje na składzie,
 po długiej z żoną naradzie
 powziął zaś taki plan oryginalny:*

„Nie z kalendarza, ni z literatury
 łapać nam nazwy dla syna i córy!
 Nie! Bądźmy sobą! Każdy w własnym kramie
 znajdzie dla dziecka swego chrzestne znamię!
 Niech imię dziecka mówi do świata,
 w czym tak pocziwie pracował tata!“

.....
 I chodzi tatuś po kramie i bada...:
 „Kawa“...? „Musztarda“...? „Figa“...?
 | „Czekolada“...?
 Z każdej widzi puszkę,
 jak nazwać dziewczuszki,
 a każda skrzynka
 woła imię synka.

.....
 ...I dał mu Bozia razem dziątek czworo.
 Cychoryą była córka pierworodna.
 Biedne dzieciszczko. Tak mgławo i choro
 mrugały zawsze oczki czarne do dna.
 Tak dziwnie smutno na ojca patrzała,
 tak egzotycznie Cychoryjka mała,
 drętko i gorzko... — Ojczulek więc za to
 drugą córeczkę już nazwał Cykatą.
 Trzeci był chłopak. Temu na chrzcie dano
 dziarskie i harde Korniszona miano .
 Gdy się już czwarte nijako udało,
 tatuś nijakie dal imię... Kakao...
 I z imion jasne było dla świata,
 w czym tak pocziwie pracował tata.

Co zaś do dalszej dzieciąt historyi,
to smutny los był smutnej Cychoryi.
Zawsze grymasna, ponura i gorzka.
Nie dziw więc temu, że nigdy choć troszka,
nigdy wesole, chichotne Amorki
nie gnały chłopców do czarnej Cychorki.
Więc choć wiosenka czterdziesta już blisko,
wciąż jeszcze taty dźwiga nazwisko.

Ale Cykata tatusia pieszczotka.
Taka przylepna i taka słodka.
Wszystko ją kocha. Żaki szkolne mokną
w deszczu wcmokując się w Cykаты okno.
A tatuś grozi z za okna: „Dam ja Ci
zęby tu szczyrzyć do mojej Cykaci!”

Lecz wkrótce przyszedł sobie taki jeden,
co wprowadził ją w małżeński Eden.
I żył z Cykatą w zacisznej zagrodzie
nie miodowe miesiące, ale lata w miodzie.
Dobrą była i słodką aż w najstarsze lata;
wszakżeż w babie najlepiej smakuje cykata.

Zaś brat Korniszon, —
okrutne ladaco,
za kratą zakiszon;
nie powiem za co.

Kakao wreszcie żył w taty zawodzie,
raz lepiej, raz gorzej, raz w mleku, raz w wodzie.

.
.

Pochowały się
dawne Marysie.

W prababek grobach już pogrzebane
Zośki te nasze mile, kochane.

*Niema już Kachny; dziś nie na czasie
Wandy, Haliny, Jadzie i Basie.*

.....
.....

*A w zamian za to cóżże nam zostało?
...Ropa, Weranda, Cykata, Kakao!*

Dam ci, ma Droga!...)*

(Parodya)

*Lepkich okłaceń mych wiechcie czuprynie.
Ślepiów mych siwych opuchłe bąbliska,
Dwutorny tunel orlego nosiska
I ust mych tęcze wilgotne, malinne.*

*W czerwieni malin klów białych klawisze,
Uszy, co z czaszki się kwieć listkami,
I wszystko, wszystko, co mam za uszami,
I co się wślizgło w mózgu ciasne nisze,*

*I piersi męskiej rosochate sklepy,
Katrynkę serca, którą kręci jucha,
I nie wyrżnięty mój salceson ślepy,*

*Organim mrukiem dudniący tum brzucha,
Wreszcie i lewą, no i prawą nogę
Dam Ci, ma Droga!... Dać więcej nie mogę!*

*) Wiersz ten wydrukowany już był wprawdzie w nr. 44 „Kurjera Poznańskiego“. Ponieważ jednak pierwotnie przeznaczony był dla „Żywego Dziennika“, przeto – choć na wieczorne nie odczytany – umieszczamy go tu, gdyż takie prawo jego przynależności. (Przyp. Red.)

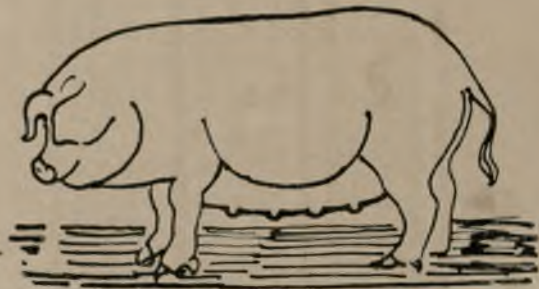
Sen

(na czasie)

*Cudny sen miałem — temu dwa tygodnie.
Leżałem w łożu ciepłutko, wygodnie.
A że nie chrapię, więc śniłem spokojny...
...Tak cicho było ... i nie było wojny...*

*W wiosce mej dzwonek zawołał do pracy.
I z chat wybiegli weseli wieśniacy.
Na tłustych łakach bydełko się pasło,
a z niebios ciekło ...masło, masło, masło...!!!*

*W maślanym deszczu stanąłem przy płocie.
A tam za płotem w kałuży i błocie...
(— Nie budź mnie, nie budź, niechaj sen nie minie! —)
rety, co widze,? ...Świnie! Świnie! Świnie...!!!*





NASZE CIOTKI

(PORTRETY ZBIOROWE ZAWSZE AKTUALNE)



Ciotka po łacinie: amita, odnośnie matertera — jest to stworzenie, łączące ze sobą wszelkie familie, rody, narody, tworzące to słoneczne, czasem pochmurne tło, na którym odbijają się najdrobniejsze detalia naszego obrazu życiowego. Ciotka przypomina i zastępuje

nam telefon bez drutu, roznoszący bezkrytycznie wszelkie tajemnice, choćby najskrytsze, bez względu na odległość, ważność materji i doniosłość sprawy.

Mamy ciotki wielkie, małe, mądre, naiwne, cienkie, grube, tłuste, chude, biedne, praktyczne, to znów tylko teoretycznie uświadomione; mamy gadatliwe i spokojne, ostatnie, to okaz rzadki, potwierdzający regułę. Zamężne młode ciotki pozwalają sobie na wiek starszy, niezamężne zaś i wdowy olśniewają wszystkich kwitnącą młodością. Choć kości stare — dusza młoda, choć włosy srebrne — serce złote, choć nosik czasem przetrąca fioletem — reszta krystalizuje się do syntezy zawstydzającej biel śniegu, choć obraz stary — to rana nowiuteńka.

Doniosłość pozycyi każdej ciotki wynika już z tego, iż trudno mi będzie wskazać człowieka, któryby nie miał ciotki. Gdzie tylko się zwrócisz, zobaczysz ciotkę, — ciotka w lewo, ciotka w prawo. Ach te ciotki!

Ciotka jest i będzie najpopularniejszym stworzeniem na świecie!

A jednak! Historya o ciotkach milczy, nazwisk ich nie wymienia, encyklopedye żadnej nie dają definicyi, kartki te jeszcze mało lub wcale nie zapisane, a materiał tak bogaty i obfity, historyczny, liryczny, psychiczny, no po prostu śliczny, śliczny!

Nie chodzi tu o charakterystyki i dyferencye, ogólnie zachodzące między ludźmi, ale o typy, wchodzące tylko wówczas w rachubę, kiedy płeć piękna wchodzi w to fatalne, czasem miłe stadjum, nazywające się... ciotką.

Czem więc właściwie jest ciotka? Ciotką nazywam tę istotę, stworzoną na pociechę lub utrapienie nasze, która zapoznając właściwe swoje przeznaczenie z uczuciem proporcjonalnem logarytnom namiętności, bez względu na wiek i wagę, wszystkie swoje myśli wytyczne koncentruje siłą kilku słoni w punkt bezkrytyczny, ambitny i dla ludzkości zbyt czyny, ale nieprzeciętny! świetny! jedyny!

A. *Ciotki dobre,*

promieniają od ucha do ucha, każdy kącik w domu czysty, umeblowanie skromne, kuchnia zaopatrzona w cukier, pieprz, sól, chleb, masło, jaja, ciepłą herbatę i kawę, sucharki lub pierniki. Ciotka taka — samotna, czy w rodzinie — zawsze gospodarna, dbająca o każdy szczegół w domu, dla wszystkich odwiecznie pogodna i uśmiechnięta.

Przyjmie cię z podniesionemi rękawami — wiedz, że „pranie w domu“, poda ci właśnie odebrany list od znajomych — znaczy „poczekaj chwilkę“, poczęstuje cię „sznapsikiem“ — „siadaj spokojnie i zostań!“

A przytem jeszcze mała drobnostka: skoro ciotka taka okrągłą cieszy się tuszą, polecieć mogą wszelkiego rodzaju słowa zdrobniałe, jak ciocuniu, ciotucho, ciotuleńko, — starszym panom wypada powiedzieć: „miluchna pupuchna nasza, ty“.

Zresztą prawie wszystkie ciotki tłuste są dobre i miłe. Ciotki chude albo za przesadnie grzeczne, albo też okropnie złośliwe. Ostatnim to już z oczu wyczytasz słowa: „A po coś tu przyszedł? Co chcesz? wynoś się?“ i t. p.

B. Ciotki poetyczne:

Pisze wiersze, wydaje wiersze, dedykuje wiersze, wycina z gazet wiersze, kupuje wiersze i haftuje wiersze!

Najwięcej podobają się wiersze, których przedruk wzbroniony.

Wrota pism poważniejszych dla niej zamknięte, a więc idzie między lud!

C. Ciotki niezadowolone:

przemawiają na temat: „Och gdybym ja była mężczyzną!“ Na widok mężczyzny zaś nachodzi je uczucie rozczarowania. Gdzie ten czas, kiedy świąty widziały owe postacie atletyczne, Ageladasza, Fidjasza, Kresilasza, oj nasza, nasza, jak wspaniała nasza postać! U inteligencji podkreślają ciotki takie w pierwszym rzędzie brak krzepy fizycznej, brak estetyki ciała, porównanie z rdzonym ludkiem naszym nie wytrzymuje krytyki.

Znam biedaka, który będąc szczęśliwym małżonkiem takiej ciotki, zwrócił się raz w uniesieniu do niej i rzekł: „Ty jesteś jak Venus!“ — na co znów doszła go odpowiedź: „A więc przyznasz, że naguchna i ogołocona z wszystkiego, kup mi nową suknię!“

A widzieliście taką ciotkę, jak, przypadkiem dostawszy się na rynek, wybiera gęsi! To obróci w lewo, to

w prawo, to z przodku za chude, z tyłu za tłuste, tak, że nieraz usłyszysz głos zniecierpliwionej przekupki: „Powiedz mi Pani tylko, czy mąż Pani też tak długo... szukał, nim Panią wybrał!”

D. Ciotki uczone:

trzymają się z daleka od chemii kuchennej. Są one plusquamperfektum w gotowaniu, znajdziesz je zato w bibliotekach, czytelniach, na zebraniach, na wykładach, w muzeach, zbiorach etnograficznych, numizmatycznych, archeologicznych, przyrodniczych, w salonach sztuki i w księgarniach. Nie mają nigdy czasu.

Na wykłady przychodzą zwykle zapóźno i wychodzą za rychło, ich zainteresowanie jest zewnętrzne, przed nimi możesz wykladać o mieczu Kolumba, albo jajku Damoklesa, to wszystko jedno!

Patrz na taką ciotkę, promieniejącą odblaskiem swego niezbadanego czegoś, czego pojąć nie może, z owym protekcyjnym uśmiechem, witającym cię pełnym miłosierdzia. Do takich ciotek proszę przemawiać z podziwem, poważnie i biblijnie, mnie więcej: O Ciotko nasza!

Z ciotek uczonych wytwarza się specjalny numer Pani Prezesowej, — mówię tu o tych strasznie ambitnych paniach, które, jak grzyby donowe, wytwarzające sobie wilgotne miejsce dla żywotności, same, pozbywszy się jednej posady dla utrzymania, tworzą towarzystwa nowe, a ich żyłka przetrąca oryginalnością w następne pokolenia! Musimy wszystko przyjąć, co nam bocian przynosi!

W arytmetyce zera stoją w tyle, w życiu częstokroć na przedzie!

E. Ciotki muzyczne:

typ to najbardziej rozgałęziony; zachodzi więc potrzeba podzielenia ich na kategorie instrumentalne i wokalne. Kto u Niemierkiewicza lub Wleklińskiego obserwował ciotki kupujące bilety, mógłby najlepszą napisać psycho-

logię ciotki. Niedawno temu podsłuchałem mały fragment: Ach, Antosiu, wybierz tylko bilety porządne; nie czasem za filarem, tam nas nikt nie zobaczy!

Z instrumentów muzycznych najwięcej podziwiam cierpliwość fortepianu. Nie wie lewica, co czyni prawica.

Ciotki chude zwykle obrabiają go w rapsodjach Liszta i as-durowym polonezie Chopina. Ciotki grubsze zaś wybierają temata bardziej liryczne, jak „Modlitwa dziewczicy” — „Gdybym ja była słońcem na niebie”, lub nokturny Chopina z odwiecznym użyciem prawego pedału.

Każda z ciotek nuci sobie lub śpiewa. Głos, że tak powiem, każdemu człowiekowi w gardło wlany. Tremolo mianowicie, ujęte w takiej formie, że największy chór przegłosi, a sufit i posadzka drgają, doprowadza niektóre ciotki do ekstazy.

Odważniejsze wchodzą na estradę i marnują publiczność. Repertuar składa się przeważnie z melodji swojskich, jak: „Mów do mnie jeszcze”, lub „Otwórz Janku drzwi dębowe”, i w końcu nie zapominając o sztuce włoskiej, owe słynne: „Il baccio!”

Obskurna, powiedziawszy wręcz, krytyka ostatniego czasu przyczyniła się niestety do tego, że odwaga tych ciotek zanika!

Zato mnożą się znowu ciotki, które koniecznie w jakiejbądź formie światu pokazać się muszą, że gdyby nie one, to muzyka nie byłaby muzyką, sztuka nie sztuką, krytyka nie krytyką, estrada nie estradą i artysta nie artystą.

Nad biurkiem ciotki znajdziesz ścianę oblepioną fotografiami, począwszy od banalnego ucznia, a skończywszy na Paderewskim. „Artysta powinien mieć szumne nazwisko, rutynowane posuwanie się na scenie i przepiękny bukiet ze wstęgami — to starczy.“!!!

A *Praca* nas tylko zdobi i zbogaca.

F. Ciotki malarki

o ile nie malują się po twarzy, to używają płótna.

Sztuka jest cichą poezją. Idźcie na wystawy nasze i podziwiajcie „martwe natury“, widoki z okna i zielone grubemi olejnymi kleksami nałożone listki na niebie. Niejedna malarka — ciotka — czuje się młodą, skoro starych mistrzów kopjuje.

Na widok tych piękności przejmuję mnie zawsze obawa przed losowaniem. Dziwi mnie, że żadna z ciotek nie wybiła się na wyżynę sztuki nowoczesnej, aby ją można nazwać: „o, futurzystko nasza“, lub „kubistko nasza!“ Ograniczenie się na różach z lukru, talerzach poustawianych w rzędzie na desce i t. p. — zbyt bezpretensjonalne!

Nieraz zoczysz taką ciotkę malarkę-artystkę jak depece po ślicznych kwiatkach w słonecznej wonnej naturze i szuka nastroju, i tęskni i mruczy sobie: „tak nastroje, nastroje, to jak mężczyźni! gdy człek chciałby je uchwycić, już ich nie ma!“

G. Ciotki kawowe:

Otocza je ambrozjańska atmosfera, złożona z zapachu składu kolonialnego z odwiecznym garnkiem kawy.

Najniebezpieczniejsze: tworzą one to gumi arabicum, które łączy i spaja familje, wymyślają śluby najniemożliwsze. Zarazem jednak łączy się w nich biuro wywiadowcze, ów żywy kinematograf z codziennym nowym programem, począwszy od 2 kilometrowego dramatu, czemu cofnięto zaręczyny p. Czesi, aż do brukowych wiadomości firmy Pathe.

„A kto wam powiada, że ciotki te zwykle mają ostatnie słowo, to kłamie; czyż one mogą wiedzieć, że po nich już nikt więcej nic nie powie!“

Kobiety rzadko kiedy rodzą się nieme, natenczas przed ich bezdennie naiwnym „tak panie“ i „nie panie“ „zachowaj mnie Panie!“

Są to niestety i dzięki Bogu wyjątki!

Czem jednak jest karabin maszynowy wobec potoku słów, rzucającego się z takiej ciotki kawowej!

Z ich łona wyłania się specjalny typ:

H. Ciotka duchowna,

owa wielbicielka sławnych kaznodziejów; umartwia ciało i pracuje z braćmi. Chuda, sentymentalna, zersztą nobliwa dziewczica, która wzdycha, chodzi na kazania, czuje, obserwuje i krytykuje, obchodzi często imieniny, nie przekracza jednak 30 wiosny; pogodziła się z myślą, że żyje w celibacie.

Pierwsza na jutrzni, pierwsza na roratach, pierwsza na chorkach, pierwsza na nieszporach itd.

Jest to ten słup litfasowy kościelny wszechwiedzący, wszystko miesiąc rychłej od władzy duchownej; owa książka adresowa tych, co umarli i tych, co tam umrzeć mają.

Requiescat in pace.

Podobną do niej, lecz w nakładzie cywilnym jest

J. Ciotka społeczna.

Zapracowuje się dla sprawy publicznej, poświęcając własne dzieci i ognisko domowe, wprowadzając męża w podziw i oniemienie.

Zapracowuje się biedaczka z zaparciem siebie, zdarza się, że z rana kwestuje na pisklęta, w południe siedzi jeszcze u Pfitznera i debatuje nad losem paralityków, po południu sortuje fanty na loteryję na głuchych, wieczorem zaś pisze jadłospis na obiad dla nędzarzy, to jest na obiad dla bogaczy, którzy się najedzą z korzyścią dla ubogich.

Uosabia ona pelikana, który pierś rozdziera, aby nakarmić głodnych — co mówię, pelikana! — tuzin pelikanów!

Na drugi dzień już znowu narada w zakładzie nieuleczalnych obłąkanych, nad koncertem, w południe próba

teatru amatorskiego, w którym objęła główną rolę, a wieczorem sprzedaje bilety na wykład.

Kiedyś odrywała listki róży, a teraz odrywa bilety!

Przy końcu chciałbym ze wstydem zaznaczyć, że od czasu, kiedy to ogłoszono temat naukowych mych zagadnień „o ciotkach“, otrzymuję najróżniejsze paczki i doniczki z kwiatami od ciotek własnych, nawet dziś jeszcze odebrałem 2 funty słoniny i kilka „kaszoków“ o 40 cm. długości i 10 cm. średnicy.

Proszę mi więc wybaczyć, że tematu nie wyczerpałem.

Maryan Andrzejewski.



Kronika miejscowa



—* *Przepowiednia pogody* poznajńskiej stacji meteorologicznej: Dzisiaj chłodno i głodno; jutro głodno i chłodno. Temperatura spada w dalszym ciągu.

—* *Z ruchu wydawniczego.* Otrzymujemy interesującą wiadomość, że złotousty i złotopióry nasz mówca i li-

terat Ośmieszynski nosi się z zamiarem wydawania organu, mającego ilustrować ruch kulturalny i naukowy naszej dzielnicy. Tytuł nowego miesięcznika (albowiem takim będzie organ naszego świątka literackiego) brzmić będzie „*Którzy piszemy*“. Wspólnictwo przyrzekły prócz licznych wybitnych reporterów kulturalnych i artystycznych, znakomita pieśniarka gminna p. Sławomira Kucharska oraz autorka zbiorku „*Śmiech i korale czyli wesołe liryki, które Go nie doszły*“, p. Wierszorobka.

—* *Nowe wydziały.* Żywy Dziennik dowiaduje się przez swego specjalnego korespondenta, że w urodzajnym łonie Towarzystwa naukowego „*Per aspera ad astra*“ kłują się zarodki dwóch nowych wydziałów a mianowicie wydziału lotnictwa, do którego przyjmować się będzie przede wszystkim artystów uposażonych niebotyczną i chmuroburczą wyobraźnią, oraz wydziału oświato-

wego, którego głównym zadaniem będzie szukanie nowych sposobów oświetlania dawnych zdobyczy świata zmysłowego i nadzmysłowego. Poza licznymi innymi zagadnieniami wydział oświecania zajmować się będzie kwestjami takimi, jak *promień nadziei*, zbawienia *stońce*, *światłość* wiekuista. Ostatnie zagadnienie jedynie o tyle wchodzi w zakres pracy wydziału oświecenia, o ile nie jest przedmiotem badań innego wydziału, mianowicie wydziału te-leopatycznego.

—* *Ze sceny*: Dyrekcya teatru komunikuje nam, że w przyszłym tygodniu ujrzy światło Kinkietów naszej sceny po raz pierwszy: komedia tragiczna Szekspira „Co chcecie, czyli wiele hałasu o nic“, oraz farsa operetkowa Fredry: „Wielki człowiek do małych interesów“.

—* *Wymierające okazy*. Tutejszy zarząd Zwierzynica zawiadamia, że oglądać można bezpłatnie ostatnie okazy wymierającego na świecie zwierza, jak kurę domową (kwoka militans), gęś (puela vulgaris), świnię (memoria delicata), indyka (parvenius gulgotans), oraz kaczkę wraz z kaczo-rem (utopia duplicata).

—* *Zmniejszenie racyi chleba*. Na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej zakomunikował magistrat, że liczyć się trzeba poważnie z ograniczeniem dziennych racyi chleba, ponieważ żywe i martwe dzienniki tyle zużywają papieru, że fabrykacyi *kartek* na chleb poważne zagrażają trudności.

—* *Sprostowanie*. W ostatnich numerach naszego organu zaszło kilka fatalnych błędów drukarskich, które nas zniewoliły do zamieszczenia sprostowania. Żeby nie powstały żadne nieporozumienia co do istotnego brzmienia tekstu pragniemy raz jeszcze przedstawić wszystkie pożałowania godne omyłki drukarskie:

W artykule wstępnym pod tytułem: „O racjonalny podział żywności“, zamieszczonym w numerze niedziel-nym, podaliśmy ustęp następujący: „Kwestya żywności-

wa jak *jaje* Damoklesa wisi nad naszym społeczeństwem, domagając się racjonalnego rozwiązania itd.

W numerze poniedziałkowym sprostowaliśmy omyłkę drukarską w sposób następujący:

Czytelnik obeznany z mitologią domyślił się od razu, że zaszło fatalne przedstawienie wiersza. Nie *jaje* lecz *miecz* Damoklesa zawisł nad biedną społecznością naszą, okazującą dużo cierpliwości wobec bezustannego podrażnienia środków spożywczych. Nie mamy wprowadzić pre-tensyi, żeby owe przysłowiowe pieczone *gązki* wpadały szerokim warstwom naszym do gąbki, lecz domagać się musimy, aby kwestya żywnościowa bądź jak bądź na solidnych postawić podstawach.

Sprostowanie sprostowania poniedziałkowego brzmiało w numerze wtorkowym:

Złośliwy chochlik drukarski wypłatał nam znów nieprzyjemnego figła. Wydrukowano mylnie pieczone *gązki*, podczas gdy mieliśmy na myśli pieczone *gołąbki* w známym sensacyjnym artykule naszym, w którym domagamy się racjonalnego podziału żywności, wołając głosem wielkimi niestety — iak prorok *bez tłuszczu*.

Sprostowanie zamieszczone w numerze środowym:

Czytelnik wybaczyć raczy, że wskutek niedopatrze-nia metrapaży zakradł się przykry błąd drukarski w sprostowaniu sprostowania wtorkowego numeru. Mamy jednak tyle zaufania do szan. czytelnika, że od razu domyślił się, że prorok przed Panem skarżyć się nie będzie na *brak tłuszczu*, ile że żyjąc *na puszczy*, nie pragnie ani *tłuszczu* ani tem mniej *wierzchowiny*, ani wołu ani osła, ani żadnej rzeczy jego, zadowolając się skromnie korzonkami i szarańczem.

Sprostowanie w numerze czwartkowym:

Czytelnik wyrozumie z pewnością, że redakcja, zabrnawszy w tysiączne trudności wojenne na wschodzie i zachodzie, z trudem tylko przezwycięża przeszkody

natury technicznej, że przeto raz wraz błąd w piśmie naszym się znachodzący wybaczyć trzeba. Otóż w numerze środowym wydrukowano błędnie *wierzchowina* zamiast *wieprzowina*, co tem mniej jest zrozumiałe, że mięso z wierzchowca u nas nie jest wcale znane, że żywimy się trzy razy tygodniowo *wieprzowiną*, nabywaną po cenach *występnych*.

Sprostowanie czwartkowe:

Proszono nas ze strony fabrykantów wieprzowiny o zaznaczenie, że wieprzowina w mieście naszym sprzedaje się po cenach nie *występnych*, lecz *przystępnych*, co czynimy tem chętniej, iż znany nam jest pocieszający fakt, że istnieją u nas także lichwiarze, których uczciwość nie podlega żadnej wątpliwości. Spodziewamy się zresztą, że artykuł nasz o racjonalnym podziale żywności spotkał się z uznaniem naszych czytelników, że wyjęliśmy im wprost z serca wszystkie w nim wyrażone życzenia i że przyczyniliśmy się walnie do rozwikłania nici z kłębka *Maryanny*, jakim jest kwestya żywnościowa u nas.

Sprostowanie piątkowe:

W wczorajszym sprostowaniu mieliśmy na myśli — inteligentny czytelnik z pewnością sam się tego domyślił — nici i kłębek nie *Maryanny*, lecz oczywiście *Aryadny*. Mądrej *krowie* dość dwie słowie!

Sprostowanie sobotnie:

Z ubolewaniem prostujemy błąd wczorajszego naszego sprostowania. Przysłowie nasze, jak powszechnie wiadomo, brzmi: Mądrej *głowie* dość dwie słowie!

—* *Stara piosnka*. Jedno z pism naszych donosi pod nagłówkiem: Okropne nieszczęście zdarzyło się wczoraj w składzie rzeźnickim „Pod chudą krową“. Sprzedawczka, rąbiąc tasakiem mięso, ucięła sobie palec. Oto, do czego prowadzi lekkomyślne obchodzenie się z tasakami.

O nieszczęśliwym wypadku dziewczyny donoszą nam jeszcze szczegóły następujące: Uciętego palca, mimo usilnych poszukiwań, nie udało się odnaleźć.

—* *Komisya językowa* „Towarzystwa Per aspera ad astra“ wydaje zarządzenie obowiązujące, aby do języka w użyciu potocznym wprowadzić dawne piękne, a niestety zapomniane wyrazy na określenie wszelkich stopni pokrewieństwa jak: snecha, jątrwia, zełwa, niecia, nieściora, dziewierz, niewiastka, podcerza, świekra.

W miejsce słowa drzwi używać należy stale —
dźwierze,

zamiast kościoła — gontyna,

„ placka — kołacz,

„ figi — pigwa,

„ ofiara — żerzec i t. d. i t. d.

Komisya, uznając potrzebę zwracania uwagi na wybitnych znawców języka naszego, zaleca w szczególności głośnego autora dzieła „Myślini czyli całokształt loiki narodowej“, „Cybernetyki“ czyli sztuki rządzenia państwem i inne podobne.

Jako wzór wykwintnej rozmowy towarzyskiej zaleca komisya następujący dyalog:

Pan Stanisław: Jeżeli pani sądzi, że passynki z podmiotu Hegla są krępakiem prawdy absolutnej, jesteś pani w największym błędzie, albowiem wynik jego pojęć jest tylko mżykiem socjalnych warunków materyi, a nigdy oczyszczonej wiedzy ducha a tem mniej masłokiem idei Boga, bezwzględnie na awożność zasadniczej prawdoświeci trzeciego prawdopodobu, to jest żywostanu w spiętości poznania.

— Pan dr. Bolesław: Realność zasady przez pana objawionej, jest również moją jaźnią, o ile transcendentność nie jest zwornikiem przedświata ani całcem rozczłonu wsobistości, bo w takim razie byłbym zmu-

szony prawdosłęb panny dr. Mądrzyńskiej uważać za przyczynowość spólrzędnego dwójgańca.

— P a n n a d r. M ą d r z y ń s k a: Sacz myśli pana jest antymonią do moich passynków a trafak tylko mógł nas zjednoczyć w siostrzanach bezwzględnej jedni.

— P a n d r. S t a n i s ł a w: Za pozwoleniem, czyliż pani dychtomię i trychtomią w różnojedni chcesz supernaturalizować bez względu na stan przeświadczenia?

— P a n n a d r. M ą d r z y ń s k a: Bynajmniej. Biorąc korzącą rotundę wszechistnienia za świat trzeci, czwarty i piąty, musimy nie a posteriori lecz a totali przyznać jako przejście do rzeczywistego przeświadczenia in sempiterno.

Dopisek red. „Żywego Dziennika“: Na kwiecistych błoniach naszego umu poznańskiego coraz większe znaczenie zdobywa sobie prawdostan nieskażonego języka. Ślubujemy, że odtąd strzec będziemy pilnie wierzei wykładników Komisji językowej i pracować nad kwiatowym rozwojem jej sobistości.





Ostatnie telegramy
· z frontów bojowych ·

KOMUNIKAT ROSYJSKI.

Piotrogród (telegram pryw. „Żywego Dziennika“).
Książę Mikołaj Mikołajewicz wybrał się w podróż do kra-
iny bajek z tysiąca nocy i jednej. Zresztą — niczewo.

KOMUNIKAT TURECKI.

Konstantynopol (telegram iskrowy z wieży Hagji
Sofji). Po ostatnim zwycięskim pogromie nieprzyjaciół
nie nadeszły świeże wiadomości z pola walki.

Salem alaikum.

KOMUNIKAT SERBSKI.

Achileon, na Korfu (teleg. pryw. „Żywego Dzienni-
ka“). Król Piotr wraz z rodziną wyjechał na Rywierę.
Zresztą: nisznego noweho!

KOMUNIKAT CZARNOGÓRSKI.

Łowczen (od specjaln. kor. „Żywego Dziennika“).
Król Mikołaj szczęśliwemi transakcjami na giełdzie pary-
skiej znaczną uzyskał „hause“ na papiery wartościowe
i temsamem dorobił się fortunki na cześć i chwałę rodziny
oraz całego narodu.

KOMUNIKAT WŁOSKI.

Rzym, (od naszego korespondenta z Lugano). Słota
wiosenna nie pozwala na podjęcie większych operacji wo-
jennych. Szare łachmany chmur otulają dumnie wierz-
chołki gór, pozbawiając nas widoku nieprzyjaciela! Żoł-
nierze nasi, żądni chwały i zwycięstwa, śpiewają z utęsk-
nieniem „A gdy będzie słońce i pogoda, słońce i pogoda“.

KOMUNIKAT FRANCUSKI.

Paryż (telegram iskrowy z wieży Eifla). Obywatele Rzeczypospolitej! Dzielimy się z wami wesołą nowiną, że na wszystkich frontach nie wydarzyło się nic nowego. *Ça ira!*

KOMUNIKAT AUSTRYJACKI.

Przed zamknięciem numeru „Żywego Dziennika“ nie otrzymaliśmy telegramu agencji Wilka z urzędowym komunikatem austrijackim.

KOMUNIKAT NIEMIECKI.

Na wschodzie i zachodzie: „Immer feste druf!“



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Inseraty

Manuskrypty pisarzy i pisarek, dokumenty historyczne, pamiętniki, utwory niewydane z wszelkich dziedzin nauki i sztuki, garkuchnie przedhistoryczne, ramiy do obrazów i płótna naolejone przyjmuje na przechowanie trwałe i pewne

Magazyn pamiątek narodowych,
ulica Muzealna nr. 44.

PIEŚNI oko- i nieokolicznościowe: weselne, pogrzebowe, wojenne wykonuje
: po znanych przystępnych cenach :
PIESIA, pieśniarka.

MŁODEGO PRZYKRAWACZA

biegłego w wszelkich pracach nożycowych, pracującego szybko a gruntownie, przyjmie na stałą pracę akordową od metra

Kujawska Spółka Krawiecka w Inowrocławiu,
Adam Kadłubek, dyrektor.

MAGISTRAT MIASTA WROCŁAWIA

poszukuje osoby o wprawnej ręce i silnych nerwach na wakującą posadę kata. Zgłoszenia nadsyłać należy do „Żywego Dziennika“
pod godłem: „*Topór, krew i zblakłe oczy*“.

S P I S R Z E C Z Y.

Zygmunt Celichowski: Zagajenie	str. 5
Bolesław Marchlewski: Prasa a wojną 9
Kazimierz Łuczewski: Granice wolnej myśli 19
Jan Antoniewicz (pseud.): Skarga — wiersz 25
Roman Wilkanowicz: W spalonej wiosce na noc- legu — wiersz 27
Marya Wicherkiewiczowa: Dwór staropolski w na- szej poezji 31
Jan Nep. Szuman: Sen-życie 39
„ Król Harald Harfagar — wiersze 41
Maciej Wierzbński: Zameczysko — nowelka 43
Czesław Kędzierski: Tygrys i człowiek — (z bajek japońskich) 55
„ Solidarność w świecie zwierząt 59
Adam Karwowski: Moja winda — (na marginesie) 63
Romuald Paczkowski: Jak pory roku mówią — (Etiuda) 71
„ Z teki warjata: — Filozof 71
„ Nasze imiona 72
„ Dam ci, ma droga 75
„ Sen — (Na czasie) 76
Maryan Andrzejewski: Nasze ciotki — (Portrety zbiorowe, zawsze aktualne) 77
Jan Szmańda: Kronika miejscowa 85
„ Ostatnie telegramy z frontów bo- jowych 91
„ Inseraty 93





KT/117
2/18

F

24 290